№ 45. Warszawa, dnia 8 Listopada (27 Października) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

DLA NĘDZY.

Chociaż w Warszawie nie panuje tak wielka nędza, ażeby mogła wyżywić tuzin ojców owej szczęśliwości, u której piersi ma zawisnąć i nassać się do woli wszelki Adam Homo, faktem jest, że i nasze miasto strąca dla niej pewne procenty. Ale i te, jak każde zjawisko, obok czynników ogólnych, ekonomicznych, przybierają swemi znamionami właściwości miejscowe i — że tak powiemy — rodowe. Nasza nędza jest nietylko przymusowem bezrobociem lub kalectwem, ale także i—to w znacznej części — gnijącem lenistwem. Równolegle z żebraniną o kawałek chleba lub nocleg z jednej strony słyszymy narzekania na brak rąk z drugiej. Dwa te objawy, występujące obok siebie ustawicznie, nasuwają prosty wniosek, że na dnie naszego proletaryatu osadza się warstwa nędzy dobrowolnej, przenoszącej największy niedostatek nad jakąkolwiek pracę. Wstrętny ten i pasorzytny pierwiastek stanowi prawdziwą chorobę społeczną, której uleczyć niepodobna a z którą rachować się trzeba.

Małoletni zbrodniarze są osobnikami zepsutymi a jednak zakładamy dla nich kolonie. Nędzarze bywają również spodleni, ale przecież trudno ich pozostawić na pastwę losu, tem bardziej, że zwykle zacierają się dla miłosierdzia różnice między niedolą zasłużoną a niezasłużoną. Ażeby jakiś biedak rzetelny nie cierpiał głodu i zimna, trzeba wraz z nim zgarnąć i te odpadki moralne, które walają się po ulicach i zwłaszcza podczas zimy przedstawiają straszny obraz nędzy.

Oprócz osobnych zakładów dobroczynnych, przedsiębrano u nas rozmaite środki opiekuńcze dla złagodzenia nędzy. W roku zeszłym b. oberpolicmajster podmyśl jął założenia domu noclegowego i w tym celu wezwano ogół do składek. Przedsięwzięcie to wszakże nie powiodło się. Kilkudziesięciu przedstawicieli kapitału zbyło odezwę do bagatych kieszeni dość skromną jałmużną 3,181 rs., na których prąd ofiar się zatrzymał. Naturalnie za tę sumę przytułek stanąć nie mógł — spoczęła więc ona w Banku polskim aż do lepszych czasów, które dotąd nie nadeszły. Chcąc zużytkować bezczynnie leżące pieniądze, obecny oberpolicmajster uzyskał od warszawskiego generał-gubernatora — jak objaśnia odezwa urzędowa — pozwolenie otworzenia kilku drobnych schronisk noclegowych drogą prywatną — według następującej normy. Każdy przytułek powinien zostawać pod zwierzchnictwem czterech opiekunów, którzy obowiązani są kolejno znajdować się w czasie przybywania i wychodzenia nocujących. Przyjmowanie trwa od 1 listopada do 1 kwietnia i od godziny 8 do 10 wieczorem, czas noclegu zaś do 8 rano. Opłata 3 kop. od osoby, licząc w to dwa kubki herbaty z kawałkami chleba razowego. Oprócz sumy wzmiankowanej, dołączono na tenże użytek rs. 2,044 z ofiar na drzewo dla biednych, oraz składki dodatkowe, wynoszące kilkaset rubli.

Schroniska te stanowią ledwie zaczątek instytucyi, której plan spoczywał w zamiarze pierwotnym, ale zaczątek ważny. Może kiedyś z drobnego nasienia wyrośnie drzewo, pod którego osłoną skryje się prawdziwe ubóstwo. Mówimy: prawdziwe, gdyż o takie przedewszystkiem jałmużnie publicznej chodzi. Z jej darów korzystają dziś i ciągle korzystać będą wynędzniali próżniacy, ale trzeba zastawić stół miłosierdzia, chociażby czasem i oni do niego zasiedli. Poważnie przypuścić można, że gdybyśmy zebrali w pomoc uorganizowaną te środki, które bez sprawdzeń i rachuby rozrzucamy po drodze żebrakom, mielibyśmy dostateczny zasób dobroczynny. Niestety brak w tym względzie należytego ustroju, i podczas gdy niejeden dziad pozostawia swym dzieciom ładną fortunkę, masa biedaków niema rzeczywiście co jeść i płaci swym losem karę za zręcznych komedyantów i wyzyskiwaczów litości publicznej. W naturze naszej tkwi bardzo wrażliwe uczucie ofiarności, ale nie objawia się ono z całkowitą siłą, osłabiane niemożnością odróżnienia prawdziwej od skłamanej nędzy, powstrzymywano dowodami najzuchwalszych oszustw. A oszustwa te, dopóki biedę oceniać będziemy przelotnem na ulicy spojrzeniem i zawierzać wszelkiej wyciąganej ręce, bez żadnej możności skontrolowania jej praw — pozostaną na porządku dziennym, gdyż stanowią zbyt łatwy i zyskowny zarobek, ażeby on nie miał nęcić istot spodlonych. Praca nie występuje jako jedyny sposób życia — korzystniejszą okazuje się żebranina. Żebrzą więc tłumy, na posterunkach dziadowskich toczą się zaciekłe walki, brzmią klątwy, licytacye... Czemuż ma być inaczej? Nosi woda zarobi dziennie kilka złotych, obwiązawszy sobie głowę szmatami, ukrywszy twarz — pod murem cmentarza lub na dobrem stanowisku ulicznem może zebrać nawet kilka rubli.

Potrzeba tedy koniecznie znieść te łowy dziadowskie, potrzeba znieść jałmużnę doraźną, niczem, prócz jękliwej prośby, nieusprawiedliwioną, potrzeba społeczeństwo zobowiązać do ofiar stałych i płynące z nich środki zlewać do odpowiednich instytucyj — słowem uorganizować miłosierdzie publiczne. Naturalnie posiadamy już pewne w tej dziedzinie zawiązki, których liczbę pomnażają trzy nowe przytułki, ale to są zaledwie elementarne środki, które nie stanowią jeszcze szeroko i ściśle rozwiniętego systematu dobroczynności, jaki widzimy w większych miastach zagranicznych.

Z GALICYI.

Lwów, 31 października.

Naśladownictwo Makarta. — Jak wygląda autonomia.. bez koszuli. — Z sejmu. — Regulacya rzek. — Ochrona lasów. — Górnictwo naftowe. — Reforma ustawy drogowej. — Pańszczyzna nowożytna. — Konkurencya kościelna. — Wnioski szkolne Dieduszyckiego. — Los wniosku Romańczuka. — Historya p. Kozłowskiego i jego udział w *schweiggeldzie*. — Sprawy kolejowe..... załatwione. — Misya ministra-rodaka. — Wybory. — Z teatru.

Jeżeli wolno było Makartowi sportretować pewną wysoko stojącą damę od grzywki do pięty w jakiejś tam rozkosznej fantazyi barw i kształtów, dlaczegoż nie miałbym sobie pozwolić tego samego i ja z bohaterką dzisiejszej mojej opowieści? Śliczna, to, zaprawdę, dziewoja—z palącym jak ogień wzrokiem i czarownym uśmieszkiem na twarzy! Wypadnie mi ją tylko wpierw... rozebrać, zdjąć ten czupurny kołpaczek sobolowy, safianowe buciki i kontusik z kolorowymi wylotami. Mamże poprzestać na tem? O nie, wszystko zdejmę — giezłeczka nie zostawię!.. Ale nie zasłaniajcie wstydliwie oczu ręką—mówię o autonomii galicyjskiej.

Owo i macie przed sobą kobietę *de trente ans*, pełną najrozmaitszych pożądliwości, ale z wyschłą już piersią, z chudemi, jak szczapy, ramionami i nogami. Teraz dopiero widzicie, że ów uśmieszek na licu—to bolesne ust skrzywienie, a błysk oczu ognisty — światło w ślepiach zgłodniałej wilczycy, gdy jej szczenięta skomlą. Tyżeś to autonomio?—pytacie, wy, co ją znacie tylko z obchodów jubileuszowych, z dni parady, chwil szału i rozpusty patryotycznej—tyżeś to pani, wielka i wspaniała, dostojna, jak wdowa królewska, której głos po śmierci małżonka przynajmniej na poły w regencyi waży?:.

Tak to ona!.. Ale wolałbym nie odpowiadać na to pytanie, bo wstyd człowieka ogarnia i żal, że po ćwierćwiekowej półsamoistnej pracy znajdujemy się w tem samem niemal miejscu, gdzieśmy stali przed laty dwudziestu czterema, gdy czytano dyplom październikowy. I co powiemy na jubileuszu?.. Czem my się pochwalimy—nie wiem, ale to pewna, że ktobądź powie nam:

„Wolałbych, by wół zrodził jelenia pięknego,
Niż, aby jeleń zrodził wołu leniwego.
Wolałbych, by Tersites powodził Achillem,
Niż Achilles Tersitę, który kąta pilen.
Wolałbych...“

Et, czegobym ja nie wolał! Ale zamilknę raczej, aby nie wyrzucić z ust bluźnierstwa...

Takie oto myśli snują mi się zawsze po głowie, ile razy sesya sejmowa zostaje zamkniętą. Patrzę i rozglądam się po tym bezmiarze naglących potrzeb kraju, szukam jakiego punktu oparcia—gwiazdy przewodniej i nie mogę jej znaleść, gubiąc się w chaosie niezałatwionych, albo prawdziwie po galicyjsku połatanych spraw najważniejszych! Na ostatku spotkam się jeszcze z samochwalstwem w końcowych przemówieniach, z tą pychą, która każe partaczowi krawieckiemu chwalić prująco się przy pierwszem ubraniu szarawary — i oto macie sumę wrażeń, którą odnieślibyście razem ze mną, przysłuchując się obradom wybrańców naszych. A przecież—jakąkolwiek już ona jest, ta autonomia galicyjska — przez te ćwierć wieku można było coś zrobić i więcej i lepiej! Przykro to mówić, ale nie godzi się zawijać prawdy w bawełnę. Nie myślcie zresztą, abym był z sądem moim odosobniony: podobne zdania wygłasza dziś większość prasy — tylko w sposób mniej kłopoczący adresatów.

Ale oto zapuszczam się w pesymistyczne poglądy ogólne, zapominając, że w dzisiejszej korespondencyi mam jeszcze zdać sprawę z ostatnich posiedzeń sejmowych, na których podniesiono spraw rzeczywiście wiele, ale uczciwie nie załatwiono ani połowy. Przejdę je tutaj w krótkości, opuszczając mniej ważne.

Sprawa regulacyi rzek stanęła wreszcie tak: do pokrycia kosztów kraj przyczyni się kwotą 3,500,000 złr., jeżeli rząd da 9,500,000. Resztę pokryją interesowani mieszkańcy nadbrzeżni. Jeśli (?) rząd zgodzi się na tę propozycyę, będziemy mieli za lat piętnaście uregulowanych dwadzieścia głównych rzek. Sejm uchwalił nadto zasady postępowania i wstawił już w budżet na rok przyszły 122,443 złr. na rozpoczęcie robót. Nadmieniam przy sposobności o uchwałach, dotyczących ochrony lasów, zwłaszcza górskich. Rząd prawdopodobnie zmiłuje się nad nami—tak przynajmniej wnosić można z podróży ministra Falkenhayna po górach galicyjskich. Tu także wspomnieć mi należy o ustawie, regulującej sprawy górnictwa naftowego. Usuwa ona dotychczasowy sposób eksploatacyi źródlisk nafty, który był iście rabunkowy.

Reforma ustawy drogowej, tłukąca się po sejmie od dłuższego już czasu, została wreszcie ubitą. Powiadam: *ubitą*, a nie uchwaloną, bo dla *takiego* rozwiązania przykrej sprawy—szkoda, doprawdy, uczciwego wyrazu. Dotychczasowe ustawodawstwo w tym względzie było i niewygodne i niesprawiedliwe. Oparte na systemie wskróś pańszczyznianym, narzucającym chłopu szarwarki, podczas gdy dziedzic dawał tylko materyał drzewny (zazwyczaj w najnieprzystępniejszej debrze) bez obowiązku ścięcia go i dostawienia na miejsce roboty—spoczywać będzie na nim i nadal. O ileż byłoby to lepiej, godziwiej i odpowiedniej do zapatrywań obecnego wieku, gdyby zamieniono wszelkie robocizny na opłatę pieniężną, nieprzeciążającą kieszeni chłopskich, która i tak wróciłaby do nich za robotę! Ale nie, trzeba i sobie i ludowi przypominać te błogie czasy, kiedy się spędzało tłum roboczy na „pańskie!..“ Poufnie—jak zapewnia *Reforma* — wszyscy posłowie godzili się na to, aby szarwarki i daniny *in natura* zastąpić podatkiem. My tu jednak w teoryi tylko bywamy radykałami, w praktyce — *naj bude, jak buwało!..* Załatano więc najgorsze dziury, usunięto kilka najniepraktyczniejszych postanowień — zresztą pójdzie wszystko po dawnemu. Przy rozprawie nad tym przedmiotem oświadczył poseł Mieroszewski, że zarówno stara ustawa, jak i nowela, psu na budę się nie zdały, dopóki nie zostanie przedsięwziętą reforma w niebogłosy wołającej ustawy gminnej, ale... o, Boże, co się właściwie stało panu hrabiemu? Czy zapomniał, że się znajduje w sejmie galicyjskim?... To też popatrzono na niego z prawicy, popatrzono, aż po mnie w loży dziennikarskiej mróz przeszedł!... Podobnie uporano się i z konkurencyą kościelną. Ostatecznie chłop będzie płacił i dawał stosunkowo najwięcej.

Wnioski Wojciecha Dieduszyckiego, mające na celu częściową reformę szkół ludowych i wydziałowych, zostały z małemi zmianami przez sejm przyjęte. Niechże będzie i tak, kiedy na nic większego i lepszego nie umiano się zdobyć. Natomiast żądanie posła Romańczuka w sprawie ochrony mniejszości narodowych w szkołach ludowych i średnich nie doczekało się

CO KTO LUBI.

Obrazek z życia dziennikarskiego

— Jak się masz, stary indyku? — zawołałem.

— Indyku?!... — zakrzyknął dziko Mgu.

Czuję, że popełniłem jakąś nietaktowność, ale zdaje mi się, że królowi jegomości nie tyle o indyka chodzi, ile o epitet „stary.“ Byłem zirytowany.

— Cóż to ja nie wiem — odzywam się— że sobie farbujesz włosy?...

— A to łotr! — wrzasnął na to Mgu-Mgu. Związać go!

Było mu już widocznie za wiele tej konfidencyi z mojej strony, która mnie znowu wydawała się najzupełniej na miejscu. Przyskoczyło w tejże chwili czterech czarnych drabów do mnie i związali mi ręce. Tymczasem z orszaku dziewic wysunęła się jakaś postać niewieścia, a zbliżywszy się do króla, rzecze:

— Papo, nie zabijaj go!

— Zabiję! — odparł król gniewnie.

— Papo, ty go nie będziesz jadł!

— Będę!

— On twardy!...

— Zębów sobie przecież nie połamię!...

— Połamiesz, papo! — zaręczała królewna.

— A tobie co do tego?... — spytał zdziwiony i zniecierpliwiony król.

— Ja już trochę znam tych polaków...

— Znasz?...

Król popatrzył badawczo, a dziewica — widziałem to przez jej czarną skórę — zarumieniła się. Mgu zamyślił się, potem mruknął coś o ratowaniu sytuacyi.

— Chodź tu błaźnie! — zawołał po chwili.

Zbliżyłem się, nie wątpiąc, że to mnie dotyczyła ta nominacya.

— Weź ją sobie! — powiedział.

Ciarki po mnie przeszły. Cóż to, ja mam ratować sytuacyę, której nie byłem nie winien, chyba tyle, że należałem do wyprawy Rogozińskiego? Niech oni piją piwo, jeżeli je warzyli!... Przytem spojrzałem na moją wybawczynię. W sobie — niczego jeszcze, ale twarz, te wargi odstające i obwisłe... brr!...

— No cóż, ty europejski kapłonie! — odezwał się król pół gniewem, pół żartem. Córkę ci daję!

— Dziękuję — zdobyłem się wreszcie na odpowiedź — nie mam obecnie zamiaru się żenić...

— Co?... Dlaczego?...

— Interesów nie uporządkowałem należycie...

— Farsa — zaśmiał się król — ja ci je uporządkuję!...

Bóg zapłać! — pomyślałem.

— Kiedy ja zresztą — kłamałem, jak najęty — ja... nie mogę mieć żony... Mnie właściwie nie po niej!...

Ale i ten wybieg nie na wiele się przydał. Król parsknął śmiechem.

— Cóż ty myślisz, że my tu nie mamy żadnej policyi? Nie czytamy dzienników, czy co?... A pięćdziesiąt przyjaciółek ze *Świtu*?...

Spostrzegłem, że w dobry sposób nie doprowadzę do niczego. Postanowiłem wystąpić energiczniej.

— Nie ożenię się! — rzekłem stanowczo.

— Ja ci każę! — wrzasnął Mgu-Mgu.

Ale też przebrała się już miara i mojej cierpliwości.

— Rozkazuj podobnym capom — krzyknąłem —jak sam jesteś, ty ośla szczęko— wiesz!...

Nastąpiło złowrogie milczenie... Mgu, czy zgłupiał, czy paraliż go raził, wyłupił na mnie oczy, nie mówiąc. Zaimponowałem mu widocznie dosadnością stylu, której nie spodziewał się pewnie znaleść

załatwienia w ciągu bieżącej sesyi. Komisya oświadczyła, że niechce decydować doryweczo (?) i zaproponowała odesłanie wniosku do wydziału krajowego, aby ten, rzecz zbadawszy, wyjaśnił ją na następnej sesyi. Tak się też i stało. Zaznaczyła przy tej sposobności większość sejmu naszego swoje historyczno-kastowe zapatrywania na sprawę ruską. Z ważniejszych postanowień tej dziedziny wymienić mi jeszcze należy uchwałę, dotyczącą założenia niższej szkoły rolniczej w Kobiernicy (pow. bielski) na wzór takiejże w Jagielnicy na Podolu. Tylo z motywów edukacyjnych. Ach, prawda, przy rozprawach nad losem wniosku Romańczuka mówił jeszcze hr. Dzieduszycki Wojciech dosyć długo o potrzebie uczenia w szkołach średnich obu języków krajowych. Gubiąc się jednak w sferze życzeń, nie określił żądania swego w postaci wniosku i rzecz przeszła dosyć obojętnie. Tylko *Diło* oświadczyło, że rusinów ta sprawa ani ziębi, ani grzeje, bo oni i tak muszą się uczyć po polsku.

W jednym z poprzednich listów przytoczyłem zdanie — że już nie powiem, czyje: „Kiełbiki zgniatamy walecznie, a grube szczupaki hulają!..“ Pierwszą ilustracyą do tej prawdy było unieważnienie wyboru posła Kamińskiego, a pozostawienie innych, więcej winnych... Drugiego obrazka, żywcem wykrojonego z albumu zagrzebskiego, dostarczył poseł Kozłowski. Gdy mu najzupełniej prawnie marszałek głos odebrał za nietaktowne zachowanie się, zawołał:

— Nie pod taką laską, jak pańska, uczyłem się parlamentaryzmu!...

Wywołało to takie oburzenie, że wreszcie p. Kozłowski widział się zmuszonym złożyć mandat, wywołując *brawa* i oklaski w Izbie i na galeryi. Były tam podobno potem jakieś między kimś — no, jak to zwykle bywa w takich sprawach — wyzywania honorowe, ale zadośćuczynienia odmówiono z powodu, że *Kuryer lwowski* wyciągnął właśnie na światło dzienne sprawę *schweiggeldu*, w której p. Kozłowski odegrać miał rolę wspomnianego wyżej szczupaka. Złożono więc sąd, który, zadowoliwszy się dowodami, dostarczonymi przez obżałowanego, uznał go niewinnym. Bili się, czy nie bili — to nas nie obchodzi nic zgoła, jako rzecz „honorowa.“ Idźmy raczej śladem sprawy mniej honorowej — *schweiggeldu* i udziału w nim p. Kozłowskiego. Oto mimo wszelkich zaprzeczeń i wyroków sądów honorowych redaktor *Kuryera*, p. Rowakowicz, wystąpił na publicznem zgromadzeniu w ratuszu i z papierami sądowymi w ręku udowodnił, że p. K. dostał 60,000 złr. od barona Schwarza za pomoc udzieloną mu przy wyrobieniu koncesyi na kolej transwersalną. Pośredniczył, jak zwykle, poczciwy *Länderbanczek*...

Wracam do sejmu. Już się tylko mam uporać ze sprawami kolejowemi. Poseł Merunowicz postawił wniosek, wzywający rząd do objęcia w administracyę własną kolei północnej (ces. Ferdynanda) po wygaśnięciu prywatnego przywileju, ale ukręcił mu głowę ekscel. Potocki Alfred, który domagał się tylko „obmyślenia środków zaradczych przeciwko przeszkodom i stratom możliwym...“ Podobnie załatwiono sprawę statutu kolei skarbowych, tak dla nas niekorzystnego. Działo się wszystko za kulisami. Zjechał nawet umyślnie minister-rodak, baron-demokrata (wpierw był demokratą — później baronem) Ziemiałkowski, aby nie dopuścić do uchwały rządowi nieprzyjemnej. Misya się powiodła... Wnioskodawca Hausner zachorował, rusini stanęli po stronie partyi rządowej i mimo łabędziego krzyku rozpaczy Romanowicza — sejm uchylił wniosek, żądający zmiany statutu, a tylko poprosił bardzo grzecznie, aby go zechciano wykonywać „odpowiednio interesom kraju...“ Niema co mówić, interesy te dzielnych mają obrońców!...

Aby zbyt nie przedłużać niniejszego listu, rzecz o budżecie zostawiam sobie do następnego, w którym łaskawy czytelnik znajdzie także sprawozdanie z komedyi p. t. *Wybory do Rady państwa*. Grają ją właśnie i to dzielni aktorowie — ale nie w teatrze, tylko w ratuszu. Natomiast u hr. Skarbka nic nowego. *Pierścień rodzinny* z *Rodzinnym pierścieniem* na przemiany — podobnie jak w waszych „Rozmaitościach.“ Więc cóż wam o nim powiem? Co do mnie, czekam już tylko, aby kapłani i kapłanki sztuki zaczęli rozpowiadać na scenie historyę łoża małżeńskiego.

Rewera.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, październik. 1884.

Strzał do autora „Pierwszej strzały.“ — Łaska i niełaska cudzoziemców na pstrym koniu jeźdźi.—Potrzeba „Rachunków.“ — Przekłady z języka polskiego na obce. — Uroczystości sztrasburskie. — Lyon i muzeum Gulmeta. — Legera przekład kroniki rusińskiej i podróże po słowiańszczyźnie południowej. — Kurschat i „Stróż nadniemeński.“

W tych dniach byłem w teatrze na przedstawieniu komedyi Blumenthala pod tytułem „Pierwsza strzała“ (*Der Probepfeil*). Utwór to mierny; dużo sytuacyj nienaturalnych; wątek rozwiązuje się w przedostatnim akcie, tak iż bez ostatniego możnaby się obejść; typy znane, zużyte: starzejąca się kokietka, podłysiały Lovelace salonowy, niewiniątko, zakochane w swoim nauczycielu muzyki, mało myślący a dużo pijący ex-rotmistrz; treść również pospolita (dlatego też jej nie powtarzam); całą wartością sztuki — język wytworny, dużo dowcipu (trochę naciąganego i ciężkiego, jak zwykle u niemców) i dosyć żwawy ruch. Te zalety wyróżniają nieco utwór poety berlińskiego z powodzi niesmacznych i gruntownie niedowcipnych nowszych oryginalnych komedyj niemieckich. Nie mówiłbym jednak o nim, gdyby nie ta okoliczność, że nauczycielem muzyki, bałamucącym podlotka uczennicę, jest polak, nazywający się ni mniej ni więcej... Krasiński. Awanturnik, uwodziciel, oszust, samochwał, tchórz, wszystkie te niepochlebne znamiona wieszcz żydowsko-niemiecki raczył skupić na osobistości, mającej być polakiem i kazał jej nosić nazwisko jednego z największych poetów polskich.

Ale i w tem nie udało mu się być oryginalnym. Od lat kilkunastu obrano nas sobie za cel pocisków na deskach, mających świat przedstawiać, wedle wyrażenia Göthego. Skończonego, acz poczciwego głupca L' Arronge nazywa na afiszu Lubowskim (w komedyi *Doktor Klaus*); inny znowu dramaturg wprowadza aż dwóch naraz nikczemników i chrzci ich nazwiskami polskiemi (w komedyi *Der Veilchenfresser*); w głośnych „Żakach“ (*Bettelstudent*) arystokratki polskie nie mają chustek do nosa i żywią się kartoflami itd. Francuzi też

---

w dziennikarzu, a przynajmniej w tym kierunku rozwiniętej. Ja też postanowiłem kuć żelazo za gorąca i ciągnąłem dalej:

— Bo może sądzisz, afrykańska cholero, że mi się podoba twoja córka? Tfu!... Dyabeł splunąłby siedom razy, zanimby się ożenił... Nie myślę zresztą chorować bez lekarza i apteki... Alboż to ja nie wiem, że toczy was od urodzenia trąd rozpusty? Po owocach na sobie poznali was towarzysze moi!... Opowiadał mi jeden...

— Cicho będziesz, ty *szwabie!* — zawołał nagle Mgu-Mgu, który podczas mojej prelekcyi zdołał się wreszcie opamiętać.

Słowom tym towarzyszyło łypnięcie białkami tak straszliwe, żem struchlał. Nie przeszkodziło mi to jednak zwrócić równocześnie uwagi na okoliczność, że *baccillus teutonicus* już tu widocznie gospodarzył, bodaj sporadycznie, wnosząc z epitetu, jaki mi się dostał w tonie, niekoniecznie umiarkowanym.

— Weźmiecie go w pięty! — zawyrokował Mgu, zwróciwszy całkiem już spokojne oblicze do siepaczy.

— Wara, szlachcic jestem! — odezwałem się na to. *In nomine serenissimae Rei publicae* — tu wymieniłem jakiś nadwiślański przymiotnik — *veto!*

— Dobrze już, dobrze — zaśmiał się król — będziesz miał ser na wety!...

Zdawało mu się, że powiedział coś bardzo dowcipnego, chciał zaś widocznie pokryć w ten sposób brak wykształcenia w kierunku klasycznym. Czarna żandarmerya oczekiwała tymczasem dalszych rozkazów.

— No, bierzcie go — zawołał Mgu — żywo!

W jednem mgnieniu oka znalazłem się na ławie. Sam król ściągał mi buty, z czego nie omieszkałem skorzystać i kopnąłem go w nos. Odwlokło to na chwilę egzekucyę, ale nie uwolniło mnie od niej.

— *Eins* — *zwei* — *drei!*... Komenderował przez zapuchnięty nos Mgu-Mgu.

W tejże chwili spadły cztery kije na moje bose pięty, a ja... obudziłem się.

Była godzina piąta. Oprzytomniawszy, zerwałem się na równe, ale potężnie ścierpnięte nogi. Okoliczność ta przywiodła mi na pamięć wszystkie szczegóły snu. Metodą retrospektywną doszedłem następnie do tego, co się działo przedtem na jawie — przypomniałem sobie całą moją rozpacz po skończonej pracy redakcyjnej, wreszcie i sam nieszczęsny artykuł. Dziki, fantastyczny sen zmordował mnie okropnie — byłem, jakby zbity. Widocznie żandarmerya senna zrobiła swoje.

— To pierwsza kara za pierwszy grzech dziennikarski — pomyślałem. Czekajmy, co będzie dalej.

Poszedłem następnie do cukierni. Bojąc się ludziom spojrzeć w oczy, usiadłem w kącie przy niezajętym stoliku. Za chwilę jednak weszło trzech panów, zupełnie mi nieznanych, którzy bez ceremonii rozsiedli się obok mnie i rozpoczęli ożywioną gawędę. Oko moje dziennikarskie dostrzegło na nich łatwo ślady strzepanego w hotelu pyłu wiejskiego, a rozmowa, której następnie byłem świadkiem, ugruntowała tylko moje spostrzeżenie.

— Czytał sąsiad, co tam piszą o tej Afryce? — odezwał się jeden z przybyłych.

Zrobiło mi się gorąco.

— Nie — odparł zagadnięty. A co to takiego?

Jeżeli masz serce, czytelniku — o czytelniczkach nie wątpię, że słuchając niniejszej opowieści, uroniły już niejedną łzę współczucia — wszyscy zatem, którzy macie serce, zdołacie sobie wyobrazić, jakie męki przechodziłem, słuchając szlacheckiego streszczenia mojego artykułu. Sprawozdanie, co prawda, było dosyć objektywne.

— I cóż na to sąsiad dobrodziej? — spytał opowiadający, streściwszy, jak umiał, moje wypracowanie.

Poty na mnie bily. Chciałem wyjść, ale szlachta zastawiła mnie stołkami i nie mogłem się ruszyć, dławiło mnie zaś w gar-

obdarzają nas podobnego rodzaju niełaską (dość wspomnieć *Niniche* itp. plugastwa). A o takich Sacher-Masochach i Franzosach zamilczeć wolę...

Był czas, kiedy nas zanadto kochano i pieszczono; dziś inaczej. Kto winien? Gdzie tego przyczyna?

Odpowiedź niełatwa. Zapewne, samiśmy tu winni do pewnego stopnia. Mało i słabo się bronimy. Wygasają jedno po drugiem pokolenia rodaków naszych, którzy słowem, pismem i własnem postępowaniem prostowali mylne pojęcia o nas i wynagradzali błędy wielu współrodaków na Zachodzie. Powtóre, Zachód ten, szczególnie niemiecki, przytępił w sobie zmysł sprawiedliwości, głosząc na wszystkie tony zasadę siły przed prawem. Zaprawdę, siły, w grubem znaczeniu wyrazu, nie posiadamy, a na świecie od wieków wołają: *vae victis!* A może i naprawdę gorszymi jesteśmy, niż byliśmy lat temu dwadzieścia? Czytelniku, porachuj się z sumieniem i odpowiedz na to pytanie. A jeżeli mnie każesz wprzód odpowiedzieć, to ci wykrzyknę z całego serca: nie! Doprawdy, staram się należeć do rzędu niezaślepiających się na własne przywary; ale sądzę, żeśmy w ostatnich dwóch dziesiątkach lat postąpili, żeśmy pracowitsi, praktyczniejsi, uczciwsi niż dawniej. Przyznają to nam nawet niektórzy nieuprzedzeni wrogowie nasi.

Skądże więc ten zwrot w opinii o nas za granicą? Wiele jest tego powodów; lecz głównym wydaje mi się ten, iż na Zachodzie nie wiedzą o zmianach w nas i u nas zaszłych ostatnimi czasy; sądzą nas według dawniejszych, dziś już zastarzałych danych. Jak dawniej za dużo, tak dziś zbyt mało o sobie mówimy. Może tak w zasadzie lepiej? Jednakże od czasu do czasu, choćby dla zaspokojenia własnego sumienia nie wadziłoby dać znak życia i przedstawić sprawiedliwszej i myślącej części Zachodu obraz najnowszego zwrotu żywota naszego duchowego i materyalnego. Trudno bowiem sobie wyobrazić, jak mało prawdziwych wiadomości o nas Europa posiada. Zdaje się mnie tedy, iż dobry, sumienny szkic dawniejszych i nowszych dziejów naszych, naszej etnografii i gieografii, naszego piśmiennictwa, statystyki, prądów opinii i stronnictw u nas, wreszcie naszych praw, pragnień i marzeń, byłby bardzo pożądanym. Napastować co chwila opinię europejską, dopraszając się ze łzami jałmużny uczuć, albo wyżebranej sympatyi, to i nudne dla niej i dla nas upokarzające a niepożyteczne; ale składać co rok lub parę rachunki sumienia naszego, spisane uczciwie, poważnie i prawdziwie, to rzecz nietylko stosowna, ale nader potrzebna dla nas i dla innych. Pomyślmy nad tem. Zjednoczonemi siłami kilku pracowników dałoby się to wykonać. Trzebaby napisać jednocześnie po francusku, niemiecku, angielsku i włosku. Myślę, że taki obraz rozwoju życia naszego, od czasu do czasu wiernie malowany, przyniósłby nam więcej pożytku od niejednej nieudolnej gazety, od niejednej kłamliwej broszury...

A nim to nastąpi, machnijmy szpicrutą, jak exrotmistrz w komedyi Blumenthala, i zawołajmy z nim: Unsinn! (głupstwo!). Jak płaczliwe pienia poetów nad grobem naszym z przed lat czterdziestu nie przyniosły nam ani za grosz pożytku, tak dzisiejsze ujadania różnych piesków większego i mniejszego kalibru ani na włos nam nie zaszkodzą.

Ażeby zaś odwdzięczyć p. Blumenthalowi jego przyjacielską usługę, moglibyśmy urządzić sobie maleńki a niewinny odwet: przetłomaczyć jego komedyę i wystawić na której ze scen naszych, tylko Krasińskiego nazwać Göthem, Schillerem, albo po prostu... Blumenthalem; sztuka nic przez to by się nie zmieniła, pozostając, jak była, miernością, a prawda możeby coś na tem zyskała.

Zresztą obdarzeni jakim takim zmysłem moralnym rodacy Blumenthala nie wysokie o etycznych i poetyckich władzach jego mają wyobrażenie. Bierzemy pierwszy lepszy podręcznik literatury i czytamy dosłownie: „B. posiada w wysokim stopniu właściwy plemieniu swemu (mówiłem już, że jest żydem), lecz jednostronny a zimny dowcip wyrozumowany, który bez skrupułu wszystko obiera za cel swych pocisków, nikogo i niczego nie szczędzi, gdyż mu brak prawdziwego humoru, a mimo to nie osiąga nigdy istotnie artystycznej twórczości“ (Bornmüllera *Biograph. Schriftsteller—Lexicon*, 1882, str. 76).

Widać, że tej twórczości niektórzy nasi posiadają więcej od pana Blumenthala, bo jego elukubracyj, ile mi wiadomo, nikt na obce języki nie tłomaczy, a utwory rodaków „Krasińskiego“ coraz częściej się pojawiają w przekładach na języki obce. Parę miesięcy temu Reklam w bibliotece swej ogłosił powiastki A. Świętochowskiego, wcale dobrze przetłomaczone na język niemiecki; E. Orzeszkowej *Silnego Samsona* drukuje De Gubernatisa florencka *Revue internationale* w przekładzie francuskim; *Uskoki* Jeża tłomaczy ktoś na język... nowogrecki (wiadomo zapewne czytelnikowi, że na francuski, serbski, angielski i niemiecki dawniej już przełożono); o powieści *Ogniem i mieczem* H. Sienkiewicza czytaliśmy niedawno w tygodniku *Gegenwart* szumny i pochlebny artykuł, zapowiadający wkrótce ukazać się mające tłomaczenie jej na język niemiecki i nastąpić mające skutkiem tego przeniesienie autora „z przybytku sejmu krajowego do europejskiej izby lordów.“

Co nim nastąpi, cieszmy się błogą nadzieją, a cieszmy się tak serdecznie, jak w tej chwili Heidelberg z tryumfu demokraty nad nacyonal-liberalnym na wyborach tutejszych do sejmu berlińskiego i jak sąsiedni Sztrasburg z odbywających się tam obecnie uroczystości poświęcenia gmachów uniwersyteckich. Pisałem już dawniej, że są one i liczne i wspaniałe; żadna wszechnica europejska nie posiada równie obszernych i wygodnie urządzonych. Brak tam tylko... studentów. Rzecz dziwna (może zresztą i nie tak dalece dziwna), ani sale wspaniało, ani pracownie i szpitale, ani dobór najlepszych profesorów nie są w stanie ściągnąć do Sztrasburga znaczniejszej liczby młodzieży. Pierwsza lepsza stara Jena, albo Gietynga tyleż albo i więcej siły przyciągania wywierają.

Trudno jest sztucznie stworzyć ognisko naukowe tam, gdzie dogodnych po temu moralnych lub materyalnych warunków niema. Przekonałem się o tem świeżo i naocznie w Lyonie. Oddawna ciekawy byłem poznać zbliska muzeum Guimeta; w połowie ubiegającego października puściłem się na Genewę do starożytnego Lugdunu. Piękną jest droga do tego miasta, pięknem i samo miasto. Rozmieściło ono czterykroćstotysięczną ludność swoją na długim półwyspie, oblanym łączącemi się dwiema wielkiemi rzekami; na wysokich wzgórzach, okalających lewy brzeg Saony, wznosi się z jednej strony strażnica grodu, reduta St. Just, a z drugiej wspaniały, zewsząd widny kościół N. Panny, zwany Fourvière (foro vetere, forum vetus), z wysoką wieżą i pięknym na niej posągiem Matki Boskiej. Aż do niedawnego czasu Fourvière była tem dla Francyi południowej, czem dla ludu naszego Często-

---

dle tak, że nie zdołałbym był wykrztusić jednego słowa prośby o zrobienie wolnego przejścia. Było widocznie przeznaczonem, abym wypił do dna ten kielich — goryczy?... Gdzież tam! Spotkała mnie prawdziwa niespodzianka.

— Niezły projekt — rzekł jeden, któremu na imię było podobno Hilary.

— Ależ paradny, wspaniały! — zawołał siedzący obok pan Franciszek.

— Ja także tak myślę — potwierdził sprawozdawca — tylko czy się to uda? — dodał tonem lekkiego powątpiewania.

— Cóż znowu! — zaprotestowali dwaj pierwsi, wykazując, jak na dłoni, całą łatwość wykonania planu. Niebawem też pan Ksawery — tak go wołano — dał się przekonać.

— A co sąsiad prenumeruje? — zagadnął pan Hilary.

— Ja?... Ja, panie... tego... prenumerowałem dawniej *Refleksyę*...

— A to musisz sąsiad zaabonować *Zapał!* Jabym go także zaprenumerował, gdyby nie środek kwartału, tem ci bardziej, że cena ta sama. Ale już mam *Hałas* do św. Jana...

— Ja-bo tam trzymam z proboszczem *Kuryera niebieskiego* do spółki — rzekł trzeci. Ale jeśli powiadacie, panowie, że *Zapał* — niech będzie *Zapał!* Namówię księdza, a nie zechce — to spróbuję sam.

Zeszła następnie szlachta na inny przedmiot, a ja, siedziałem w niemem osłupieniu długą jeszcze chwilę, uszom własnym wiary nie dając. Wstałem wreszcie i wyszedłem na Wały. Zdaleka spostrzegłem idącego naprzeciw znajomego staruszka, udałem jednak, że go nie widzę, chcąc przejść bez powitania.

— A to tak — rzecze starowina — to już jegomość nie poznajosz teraz dawnych znajomych? Ładnie, a ładnie!...

— Przepraszam najmocniej!... — odezwałem się zmieszany.

— No, no! Ja to już oddawna spostrzegłem, że jesteś zakochany...

— Ja?...

— Przyznaj się!...

— Ależ, jak Boga kocham, nie!

— No to się zakochasz! — zakonkludował staruszek. A co tam u was w redakcyi słychać?

— Et, co! — odburknąłem zły — ogórki i woda! Psy bić przyjdzie dziennikarzom, albo awantury wyprawiać na ulicy, aby było o czem pisać.

— Co też ty nie wygadujesz! Mało to się rzeczy dzieje na świecie? A ot!... Kolonizacya Afryki...

— Przepraszam pana dobrodzieja — rzekłem niekontent z obrotu rozmowy — ale mi się nadzwyczaj spieszy...

— O, o, co znowu! Ona przecież poczeka...

— Jaka ona?...

— Nie udawaj, nie! Albo ja tam wiem zresztą, która z rzędu?...

— Że też to panu dobrodziejowi wiecznie romanse w głowie! — odezwałem się zgorszony. Mnie to już dawno wyszumiało!...

— Fiu, fiu, co mi za statysta! To ty pewnie pisałeś artykuł o Afryce?...

— Ja, czy nie ja — zawołałem rozwścieklony — artykuł jest głupi, a autor jego kompletny waryat!...

— To już widocznie nie ty pisałeś, kiedy tak mówisz. Jacy wy zazdrośni!... — dodał.

— Byłoby o co! — mruknąłem.

— Powiadam ci — ciągnął dalej staruszek zwolna — lat piętnaście czytam *Zapał* codziennie od deski do deski, ale tak znakomitego artykułu jeszcze tam nie było. Co za pyszny projekt! Godziłoby się, żeby który z posłów poruszył tę sprawę w sejmie...

— Co?... co?...

— No to w Radzie państwa!...

— Panie dobrodzieju—przerwałem mu—muszę odejść!...

— A to mu pilno! — wykrzyknął staruszek. No idź, idź, tylko nie zasiaduj się

chowa; aliści udało się skromnej pasterce dostąpić objawienia w Lourdes... i tam teraz bogobojne serca i grosze się skierowały.

Muzeum Guimeta jest niewyczerpanym skarbem dla każdego, kto się zajmuje dziejami religii wogóle, a takiemiż dalekiego Wschodu w szczególności. Olbrzymie sumy wydał szanowny założyciel muzeum i zgromadził tu tysiące posągów i posążków bożyszcz, kutych z marmuru, lanych ze spiżu, rzeźbionych z drzewa, złoconych, malowanych, pięknych i potwornych; prócz tego wszystko, cokolwiek się odnosi do kultu i obrzędów japońskich, chińskich i indyjskich: szaty kapłanów, berła ich, narzędzia świątyniowe, obrazy, rysunki, całe ołtarze i kapliczki, dzwonki, trybularze, wszystko to w obfitości nagromadzono, nie mówiąc już o sporej bibliotece (22,000 tomów), służącej wyłącznie dla badaczów historyi, o obrazach, malowanych przez umyślnie na to wysyłanych na wschód artystów, a przedstawiających świątynie i obrzędy tameczne, a także o mnóstwie sprzętów i naczyń, odnoszących się do dziejów sztuki i przemysłu dalekiego Wschodu.

Guimet włożył w to wszystko kilka milionów franków, co stanowi cząstkę potężnej jego fortuny, zrobionej na handlu farbą niebieską (bleu de Chine) z Chinami; nie tylko zakupił i przywiózł kilkadziesiąt tysięcy przedmiotów, ale wybudował piękny gmach, sprowadził uczonych japończyków i indyan do tłomaczenia i objaśniania pism Wschodu, oraz układania i opisywania zbiorów muzealnych; wydaje także dwa ważne zbioropisma: *Annales du musée Guimet* i *Revue de l' histoire des religions*: a prócz tego wszystkiego dwa razy tyle przedmiotów i sprzętów leży dotąd nierozpakowanych w Lyonie i Paryżu.

A jednak, mimo to wszystkie ponęty, muzeum bardzo mało jest uczęszczane, Lyon jest przeważnie miastem fabrycznem, leży na uboczu od wielkich arteryj komunikacyjnych; któż zechce lub będzie w stanie umyślnie tam jechać? Co innego np. Paryż, stolica świata i ruchu europejskiego. To też mówił mi p. Guimet, że postanowił tam przewieść zbiory lyońskie i dopełnić je ukrytymi jeszcze w skrzyniach nowymi nabytkami. Już z rządem zagajono sprawę; założyciel muzeum chce, aby kraj dał w Paryżu gmach oddzielny i zapewnił zapomogę w ilości 50 tys. fr.; jeśli tylko Izby w kadencyi obecnej zgodzą się na to, wszystkie bogi i boginie powędrują wkrótce nad Sekwanę.

Przybywa do nas z nad jej brzegu stary Nestor, mnich kijowski, w nowej szacie francuskiej. Profesor języków słowiańskich, znany u nas oddawna, p. L. Leger, świeżo ogłosił poprawne i staranne tłomaczenie najdawniejszego latopisu Rusi *); przekład swój wzbogacił obszernym i uczonym komentarzem, ułożonym w porządku abecadłowym, oraz zajmującym wstępem, w którym rozprawia o znaczeniu kroniki kijowskiej, o jej wydaniach, przekładach i t. d. O przekładzie Bielowskiego p. L. wyraża się z należytem uznaniem.

Tenże p. Leger, jednocześnie z kroniką, przypisywaną Nestorowi, puścił w świat (drukowane poprzednio po różnych czasopismach) wspomnienia z podróży swojej, odbytej latem 1882 po Słowiańszczyznie południowej **). Zwiedził on ziemie słowieńskie, chorwackie, serbskie i bulgarskie, ale nie jako prosty turysta, lecz jak uczony, dobrze obeznany z mową i dziejami tych plemion, a przytem jak człowiek, przejęty serdecznem dla nich współczuciem. Przy budzących się w nas i u nas sympatyach słowiańskich zajmująco a pouczająco opisana podróż profesora paryskiego znajdzie, nie wątpię, licznych czytelników, a zapewne i tłomacza.

Dla amatorów sanskrytu zapisuję dwie nowiny: ukazanie się pierwszej próby systematycznego wykładu składni tego języka, która, ile z ogłoszonej dotąd części sądzić mogę, dobrze się przysłuży nietylko uczącym się, ale i znawcom mowy staroindyjskiej ***). Pan Szerel korzystał z odpowiednich prac przygotowawczych, rozsianych przeważnie w czasopismach, zbioropismach i monografiach niemieckich, usystematyzował je i wzbogacił doborem nowych przykładów, zaczerpniętych głównie ze zbioru przysłów sanskryckich Rotha. Temiż przysłowiami napełnił w znacznej części świeżo ogłoszone wypisy sanskryckie p. Bergaigne, znany lingwista francuski, dodając do nich krótką gramatykę i słownik dokładny *). Zdawało mi się zawsze, że naukę języka od przysłów i im podobnych krótkich, barwnych a pełnych znaczenia urywków należy zaczynać (porównać proszę *Prawdę* z r. 1881, nr. 2 i 3); cieszę się, że uczony francuski myśl moją w części urzeczywistnił.

Dla litwinów i zwolenników litewszczyzny zanotować wypada zgon prof. Kurschata i ukazanie się nowego czasopisma litewskiego w Ragnecie p. t. *Nemuno Sargas* (Stróż nadniemeński), o czem do następnego listu rzecz odkładam.

Jan Karłowicz.

*) *Chronique dite de Nestor*. Paryż 1884, str. 396 w 8ce wielk.

**) *La Save, le Danube et le Balkan*. Paryż 1884, st. 279 w 12-ce.

***) *Sintaksisz drevne indijskago jazyka*. Cz. I: zgoda części mowy, użycie liczb i przypadków. Charków 1883, str. 369 w 8-ce w.

*) *Manuel pour... la langue sanskrite*. Paryż 1884, str. 334 w 8-ce w.

PAMIĘTNIKI HEINEGO.

(Dokończenie).

Wspomniawszy o niańce swojej, która była jeszcze w domu jego rodzicielskim, gdy już miał lat szesnaście, a która raz zaprowadziła go do wróżki, wdowy po sławnym kacie — Heine opowiada szeroko o swej pierwszej miłości. Uczuciem tem zapłonął dla siostrzenicy „mistrzowej“ (tak zwano wdowę po kacie), „czerwonej Józefki,“ która sama także była córką i wnuczką kata. Piękność tej ostatniej w najżywszych opisuje barwach, a urok, jaki na niego wywierała, miał być nadzwyczajnym. „Umiała dużo starych pieśni ludowych i prawdopodobnie obudziła we mnie zamiłowanie do tego rodzaju utworów, tak samo, jak niewątpliwie też ona najsilniejszy miała wpływ na umysł młodego poety Pierwsze moje poezye *Traumbilder*, które napisałem zaraz potem *), noszą koloryt dziki i ponury, podobnie, jak i ów stosunek z nią, co krwawe cienie rzucał w młode życie i myśl moją.“ Pierwszy raz pocałował Józefkę w chwili, gdy korzystając z nieobecności ciotki, pokazywała mu ogromny miecz katowski, po dziadku starannie przechowywany. „Tak, mówi, pomimo miecza, którym ścięto już setki łotrów, pomimo infamii, ja-

*) W przedmowie do francuskiego wydania swoich pism Heine powiada, że pierwszymi jego utworami lirycznymi były *Traumbilder*, które napisał w r. 1816.

---

zbyt długo! — wołał za mną — pamiętaj, że na starość będziesz musiał pokutować!...

Przebiegłem Wały, nikogo nie widząc, niczego nie słysząc, choć gwarno było i rojno na *corso* lwowskiem.

— Albo oni powaryowali — zawołałem wreszcie — albo ja nie mam rozumu!...

Ktoś za ramię mnie schwycił — był to kolega z czasów uniwersyteckich.

— To już z pewnością — rzekł uśmiechając się — nie im, ale tobie się coś stało. Latasz, jak szalony, po Wałach...

— A... jak się masz, Michale?... — odezwałem się, udając pełną równowagę umysłu. Cóż tam u ciebie słychać?...

— Tylko, proszę ciebie, nie zagaduj! Powiedz, co ci jest?

— Czytałeś artykuł o kolonizacyi Afryki? — spytałem, postanowiwszy przeciąć węzeł odrazu.

— Znowu zagadujesz! Kryjesz się jednak, to się kryj — nie myślę być niedyskretnym... Artykuł czytałem.

— I cóż sądzisz o nim?... — spytałem skwapliwie.

— Jeszczem go nie przetrawił należycie.

— No to postaraj się zawczasu o lekarstwo!... — przerwałem.

— Nie przetrawiłem go jeszcze — ciągnął, nie zważając na moje słowa przyjaciel — sądzę jednak w każdym razie, że projekt godzien jest poważnej dyskusyi.

— Co ty mówisz?

— To samo powiedziałem w biurze, poddając myśl zwołania ankiety...

— Rany boskie! — zawołałem. Człowieku, czyś ty oszalał?...

Michał popatrzył na mnie. Widziałem, że był zirytowany.

— Proszę cię—rzekł, hamując się widocznie—jeżeli nie zaprzestaniesz tych krzyków, to będę zmuszony zrobić ci niegrzeczność i bez pożegnania zawrócić w przeciwną stronę. Ludzie patrzą...

— Przecież ja cicho mówię — odezwałem się.

— Dziękuję ci za takie *piano!*.. Dajmy już jednak temu pokój, bo widzę, że jesteś niezwykle czegoś podrażniony. Ot, wiesz co, chodźmy do teatru — operetka dzisiaj. Wy literaci lubicie to najlepiej i na każdą farsę, gadaną czy śpiewaną, stawiacie się wszyscy, jakby do apelu. Krzyczycie mimo to na upadek sceny—faryzeusze!...

Byłem tak roztargniony, że obelgi przyjaciela przelatywały mi mimo uszu, nie wywołując z mojej strony żadnego protestu.

— Ale... co kto lubi!... zaśmiał się Michał z odcieniem wyrozumiałości w głosie. Złośliwiec!..

— Co kto lubi?... powtórzyłem zamyślony. Może to jeszcze najlepsza odpowiedź na moje wątpliwości?... Tak — co kto lubi!..

— Michał sądził zrazu, że z nim rozmawiam, ale spostrzegłszy, że posiadam zaledwie słabą świadomość jego obecności, zauważył:

— Wiesz co, możebyś ty do domu poszedł?..

— Cóż znowu! Mieliśmy przecie do teatru pojść.

— A nie jesteś słaby przypadkiem, albo...

— Zdrów jestem zupełnie. Chodźmy!

Grano *Madame Favart*, na którą spóźniliśmy się trochę. Pierwsze słowa, jakie usłyszałem, była piosnka.

„Posłała mię mamunia w sad,
Nie wiedzieć, jak i co!..“

Była to wyraźna ilustracya do mojego położenia. Rzeczywiście nie wiedziałem, co się ze mną działo i jak to wszystko wytłomaczyć. Zdało mi się, jakobym się znajdował w jakiejś ciemnej przestrzeni, pełnej tajemnic dla mnie niezrozumiałych, w którą iskierkę światła cisnął dopiero Michał, nie wiedząc zresztą o tem. Jego „co kto lubi“ brzmiało mi ciągle w uszach przyjemnie i muzyką było stokroć milszą, niż najrozkoszniejsze melodye Offenbacha. „Co kto

ką uczciwego człowieka okrywa każde zetknięcie się z niecnym rodem—ucałowałem piękną córę katów. Pocałowałem ją nietylko z czułości, ale i z urągania całemu dawnemu społeczeństwu i wszystkim jego ciemnym przesądom. A gdym ją ucałował, wtedy zapaliły się we mnie pierwsze płomienie owych dwu namiętności, którym pozostałem wiernymi w życiu późniejszem: miłości dla pięknych kobiet i miłości dla rewolucyi francuskiej, owej nowoczesnej *furor francese*, którą i ja byłem dotknięty, walcząc z pachołkami średniowieczczyzny." „Napisanem było — mówi niżej nieco — że owo wielkie zło, owa ospa serca silniej ma przeniknąć duszę moją, aniżeli dusze innych śmiertelników. Serce też moje nosi ślady źle zabliźnionej ospy w takiej obfitości, iż wygląda jak maska gipsowa Mirabeau'a lub jak fasada pałacu Mazarin po pełnych chwały dniach lipcowych lub wreszcie jak reputacya największej tragiczki" *). Ojciec Heinego pobłażliwem miał patrzeć okiem na stosunek jego z piękną Józefką, natomiast surowo go zgromił, gdy się dowiedział o szyderstwach jego antireligijnych. „W perorze—pisze poeta—jaką usłyszałem z tego powodu, ojciec mój rzekł między innemi: „Możesz być filozofem, ile ci się podoba, ale proszę cię nie mów publicznie, co myślisz, bo możesz mi zaszkodzić w handlu, gdyby kundmani moi dowiedzieli się, że mam syna, który nie wierzy w Boga. Jestem twoim ojcem, a więc starszym od ciebie i doświadczeńszym, możesz mi przeto wierzyć na słowo, że ateizm jest wielkim grzechem."

Temi słowy kończą się obecnie ogłoszone pamiętniki. Następuje potem dodatek pierwszy, mieszczący urywki z pierwszych pamiętników. Z pomiędzy nich zasługują na uwagę listy z Helgoland o rewolucyi lipcowej 1830 r. Heine, nudząc się na wyspie, niezdecydowany, gdzie, w którym kraju ma szukać spokoju — „z rozpaczy," jak powiada, zaczął czytać Biblię. „Co za księga!—odzywa się raz—wielka i obszerna, jak świat, oparta o przepaście stworzenia, a stercząca ku niedościgłym tajemnicom nieba. Wschód słońca i zachód, proroctwo i ziszczenie, narodziny i śmierć, cały dramat ludzkości — wszystko tu jest. Jest to księga ksiąg — Biblia. Żydzi powinniby się pocieszyć, że stracili Jerozolimę, i świątynię, i arkę przymierza, i naczynia złote, i klejnoty Salomonowe. Taka strata jest drobną w porównaniu z Biblią, tym skarbem nieocenionym, który ocalili. Jeśli się nie mylę, Mahomet nazwał żydów „ludem księgi," a nazwa ta do dziś dnia pozostała im na Wschodzie i mieści myśl głęboką. Księga jest ich ojczyzną, ich posiadaniem, ich władcą, szczęściem ich i nieszczęściem. Żyją oni śród niezakłóconej dziedziny księgi owej, tu wykonywają swe niespożyte prawo obywatelskie, stąd wygnać ich nie można, tu gardzić nimi niepodobna, tu są potężni i godni podziwu. Zatopieni w czytaniu owej księgi mało zwracali uwagi na zmiany, które zachodziły koło nich w świecie rzeczywistym. Narody powstawały i znikały, państwa rozkwitały i gasły, na powierzchni ziemi huczały burze — ale oni, żydzi, schyleni nad księgą swoją nie wiedzieli nic o huraganach, które przeciągały po nad ich głowami." „Jeden tylko pisarz— mówi w innym liście — zdaje mi się przypominać bezpośredni styl biblijny — to Szekspir. I u niego nieraz słowo w tak strasznej występuje nagości, iż nas przeraża i wstrząsa. W dziełach Szekspira widzimy czasem prawdę wcieloną, bez sztucznej szaty. Ma to miejsce jednak w pojedynczych tylko wypadkach. Wtedy geniusz sztuki, czując może niemoc swoją, na kilka chwil tylko powierza naturze swą rolę — i zaraz potem tem gorliwiej wyraża władztwo swoje w plastycznem ukształtowaniu i zręcznem powiązaniu dramatu. Szekspir jednocześnie jest żydem i grekiem, albo raczej oba pierwiastki, spirytualizm i sztuka, w tworach jego przenikają się zgodnie i harmonijną stanowią całość." Stosunek swój do ówczesnych prądów politycznych Heine określa w ten sposób: „Co za ironia losu. Ja, który najmilej zajmuję się śledzeniem biegu obłoków, dobieraniem dźwięków metrycznych, podsłuchiwaniem tajemnic natury i zatapianiem się w pełen cudów świat baśni starożytnej—ja, musiałem wydawać roczniki polityczne, objaśniać sprawy bieżące, wywoływać dążenia rewolucyjne, pobudzać namiętności i wciąż targać za nos biednego Michałka niemieckiego, aby mu przerwać twardy sen. Prawda, że wskutek targania tego chrapiący olbrzym kichnął tylko łagodnie, ale nie przebudził się. A jakkolwiek gwałtownie szarpałem mu poduszki pod głową, on je natychmiast poprawił ręką rozespaną. Raz z rozpaczy chciałem mu podpalić szlafmycę, ale tak była zwilżoną potem, że tylko zatliła się słabo — i Michałek uśmiechnął się wśród drzemki..." Rezultat rewolucyi lipcowej taką uwagę nasuwa poecie: „Stare to dzieje! Od czasów niepamiętnych nie dla siebie, lecz dla innych, krwawił się i cierpiał naród. W lipcu 1830 r. wywalczył zwycięstwo dla mieszczaństwa, które również tyle warto, co owa z tym samym egoizmem usunięta przez nie szlachta. Naród nic nie zyskał przez to, prócz żalu i nędzy większej." W dalszym ciągu czytamy: szkic testamentu Heinego (prawdopodobnie z r. 1854), w którym kuzynowi Karolowi poleca przyszłość żony swojej, kilka listów otwartych i wreszcie dziesięć dotychczas niewydrukowanych wierszy drobnych, w których obok zwykłego szyderstwa Heinowskiego dziwny jakiś rozlany jest smutek.

Kończy książkę zbiorek listów do znajomych i przyjaciół. Pierwszy z nich nosi datę 1 października 1824 i adresowany jest do Goethego. Prosi tu Heine o kilka chwil posłuchania i o pozwolenie ucałowania ręki sędziwemu poecie i w tym celu „ku czci Goethego (tak się wyraża) pieszo odbyłem pielgrzymkę do Weimaru." Sześć listów następnych pisanych jest do pani Karoliny Jaubert (po francusku), niedawno zmarłej żony radcy sądu kasacyjnego francuskiego, Maksima Jaubert, wykonawcy testamentu Heinego. Treść ich wyłącznie prawie dotyczy stosunków osobistych. Do takich samych stosunków odnoszą się wydrukowane z kolei listy do „Mouche" (Kamili Selden), która, jak wiadomo, była najlepszą przyjaciółką Heinego, pielęgnowała go i odwiedzała podczas długoletniej choroby. Kartki te (bo tak można nazwać te listy nieraz po kilka wierszy tylko obejmujące), kreślone widocznie obumierającą już dłonią (wszystkie pochodzą z r. 1855, a jeden nawet ma datę 11 stycznia 1856, a zatem pisany na miesiąc przed zgonem) nie pozbawione są przecież pewnego iście heinowskiego sarkazmu. Dla przykładu przytoczę zakończenie jednej z nich. „Płaksiwe usposobienie opanowywa mnie. Serce me ziewa spazmatycznie. Nieznośne są owe "bâillements." Wolałbym już nie żyć, albo być zdrów, jak mops, którego medycyna nic nie obchodzi.

Nędzo najstraszniejsza imię twoje

Henryk Heine."

Ostatnie stronice książki mieszczą listy (13) do dr. L. Wertheima, który przez długie lata był przyjacielem i lekarzem Hei-

*) Według Engla (wydawcy), Heine miał tu na myśli pannę Rachel.

---

lubi!.." powtarzałem sobie co chwila, pojąc się dźwiękiem tych trzech słów, jak balsamem, spływającym w moją zbolałą duszę. Uspakajałem się zwolna, nie zaraz jednak powróciłem do przytomności, bo oto, gdy w trzecim akcie odśpiewała pani Favart duet ze swoim towarzyszem:

„Aus Tirol sind wir beide,"

zawtórowałem im tak głośno przy zwrotce „hi-ja-hi hu-a-ha!" — że zwróciłem na siebie uwagę połowy amfiteatru. Dopiero szturknięcie, wymierzone w mój bok przez przyjaciela, zmusiło mnie do uznania całej niestosowności dalszych produkcyj w tym kierunku.

Opuściłem przedstawienie w humorze wcale dobrym. Coś się tam na dnie sumienia ruszało jeszcze, ale na robaka tego miałem wyśmienite lekarstwo: „Co kto lubi!..."

— Widzę — rzekłem wreszcie — że to najpopularniejszy ze wszystkich stylów...

— Ale czy najuczciwszy?... odezwał się robak w sumieniu.

Nie zdołałem odpowiedzieć, bo równocześnie zagadnął mnie znajomy księgarz, który za młodu sprzedawał zapałki, a obecnie jest wydawcą *Świątyni rodzinnej*.

— A łaskawco — wołał — dobrze, że cię spotykam! Panusiu kochany, możebyś już skończył o tej reformie szkolnej?.. Hm?..

— Przecież muszę dać jakąś konkluzyę— odpowiedziałem.

— Jechał sęczek konkluzyę! — zawołał „redaktor odpowiedzialny." Pismo moje dla pancia otwarte zawsze, ale możeby coś tak lżejszego? O modach — hm?.. Fejletonik—tego—hm?.. O wyścigach?.. Kobiety się pasyonują do tego...

— Ależ, panie—oburzyłem się—w piśmie codziennem—nie mówię, ale w *Świątyni rodzinnej* o wyścigach?..

— Co robić, dobrodziejaszku, co robić?— tłomaczył mi księgarz. Musimy dawać, co kto lubi...

Zarumieniłem się, usłyszawszy te słowa. Dopiero teraz ujawniła mi się cała brzydota wniosku, wyciągniętego z dzisiejszego zdarzenia, a streszczającego się w dewizie: „Co kto lubi..." Wstyd mnie ogarnął przed samym sobą. Ale uczucie to było już zgoła różne od tego, jakie dręczyło mnie w południe. Wstydziłem się nietylko mojej dziwacznej elukubracyi, ile hasła, którem jej bronić chciałem.

— No, to o modach — pytał księgarz — hm?...

— Nie, nie mogę panu służyć — odpowiedziałem — nie znam się na modach.

— Szkoda, szkoda, pancńku!—rzekł arcykapłan *Świątyni rodzinnej*, żegnając się ze mną w przedsionku teatralnym. Obrócił się raz jeszcze i spytał:

— Hm?..

Alem już udał, że nie słyszę.

Wszedłem do restauracyi. Dano mi pieczeń, ale, jak prawdę kocham, nie jadłem takiej nawet na „najlepiej renomowanych stancyach." kiedym jeszcze był studentem. Jego Wysokość Mgu-Mgu pewno lepszą przyrządzać sobie każe z ludzkiego mięsa... Ale im twardszą była, tem ja kruszałem coraz bardziej, żałując za grzechy w ciągu dnia popełnione. Zwróciłem jednakże uwagę gospodarza na to, że mam zęby nieszczególne.

— Czemuż pan dobrodziej—usprawiedliwiał się kurator żołądków literackich—nie kazał sobie odmienić? Niektórzy panowie wolą twardsze, drudzy kruchsze mięso, a my dajemy, co kto lubi...

W tej chwili prysnął mi ząb—bynajmniej nie kłamię. Ale nie pieczeń była już temu winną, tylko widelec, który wpakowałem między zęby, usłyszawszy "co kto lubi..."

Od owych to czasów, choć podobno nie byłem nigdy jej zwolennikiem, znienawidziłem tę tandetną dewizę po wszystkie wieki, w druku i żywem słowie, w parlamencie i salonie. Czy prawdę mówię — niechaj ci, czytelniku, probierzem będzie ta szczera moja spowiedź.

nego. Listy te, odzwierciedłające jedynie stosunek pacyenta do lekarza, nic nie zawierają ciekawego.

Ad. J. Cohn.

LIBERUM VETO.

Wystawa smutku. — Płacz według kalendarza. — Zaduszki. — Szczera boleść nad grobem. — Nigdy i kiedyś. — Jesienna zabawa. — Przemiana Resursy obywatelskiej. — Klub rodzinny, jego historya i ważność. — Oburzenie p. A. Półkozica. — Spekulacya na spuściznie po wielkich ludziach i ich tajemnice. — Od czego nieboszczycy bardziej poruszają się w grobach.

Człowiek wystawia na pokaz wódki, sery, dzieci, piękno kobiety, dlaczegoż by więc nie miał wystawić swego smutku.? Prawda, ani w Londynie, ani w Paryżu, ani nawet w Filadelfii nie urządzono dotąd osobnych pawilonów dla pięknych nagrobków, ozdobnych wieńców, dla płaczących matek, żon, córek, ojców, synów i mężów, ale bądźmy cierpliwi względem czasu, który w swem łonie niesie daleko większe niespodzianki. Dotąd wystawy żałoby nie przybrały jeszcze charakteru międzynarodowego, lecz zachowały miejscowy, a wiadomo, że ze zgromadzeń powiatowych rodzą się gubernialne, z gubernialnych — krajowe itd.

Taka właśnie — mówiąc językiem warszawskim — „ekspozycya“ smutku, dorocznym zwyczajem, odbyła się u nas 3 listopada na Powązkach. Chociaż tu i owdzie, ukryci po załamach świątyni, klęczą i modlą się wierni gorąco, nie wierzę w szczerość nabożeństwa, na które przybywa reporter, rysownik i modniarka. Nie wierzę również w szczerość płaczu na mogiłach cmentarnych, któremu dzień wyznacza kalendarz, formy — zwyczaj, a przybory — moda. Na Powązki płynie tłum w Zaduszki, jak na Bielany w Zielone świątki. Przypuszczam, że można się bawić w oznaczonej naprzód porze, ale płakać... Ludzie wszakże to umieją. Wdowa, która jeszcze onegdaj nie pamiętała o swym zmarłym mężu, dziś kupuje mu wianek, wdziewa żałobną suknię i jedzie z falą dla złożenia ofiary z terminowych łez. Nie żałujemy ani jej, ani wszystkich, którzy płaczą według kalendarza; natomiast żałujemy tych, których boleść nie zależy od dat żadnych. A jaką ta boleść bywa, wiedzą o tem tylko groby powązkowskie.

Gdyby natura rozumiała nieraz, co robi, zmartwiałaby w przerażeniu. Ona nie wie— i dlatego jest tak okrutną, okrutniejszą, niż wszystkie potwory, jakie w pomyłkach, czy złości stworzyła. Dla oskarżania i przeklinania jej schodzą się na cmentarz nie w Zaduszki, ale codziennie zbolałe serca, które noszą w sobie bezdenną rozpacz, tam spotykasz bez teatralnych przyborów twarze w męczarni życia wykrzywione, oczy, które niewysychająca nigdy łza wyżera. Tam wiją się na krzyżach męczennicy, którzy daremnie wzywając niebo o śmierć prędką, pytają: „Panie, panie czemuś nas opuścił?“ lub bez modlitw i skarg uginają się pod straszną koniecznością natury. Z tych piersi dopiero wydobywa się cichy przez nikogo w przestrzeni niewysłuchany hymn boleści, która nie zna kalendarzów, zwyczajów i mody. I po co nieszczęśliwi chodzą na głuche, nieme, litości pozbawione groby? Alboż oni nie rozmawiają z własną jedynie myślą, z marami własnej wyobraźni? Niech tu nie zabiera głosu trzeźwa rozwaga, bo on odbija się od uszu rozpaczy. Chociaż zgwałciła rozum—dogodziła sercu ludzkiemu teorya, która mu nie odebrała wszelkiej nadziei, która je pociesza wiarą w życie zagrobowe, w zmartwychwstanie. *Nigdy* — jest najstraszniejszem słowem, jakie język ludzki wydał; czy można się dziwić, że ludzie goją przez to słowo zadane rany innem, chociaż złudnem: *kiedyś*? Kto temu balsamowi nie ufa, zakłada bezskuteczny protest przeciwko okrucieństwu natury, płacze na drogim grobie i łagodzi boleść myślą, że kiedyś... sam się w nim położy, że jako rozluźniona mieszanina pierwiastków chemicznych czuć i cierpić nie będzie. Marna pociecha? Alboż człowiek sam stworzył konieczność, której ulega?

Te cienie życia tylko przelotnie muskają większość żałobników kalendarzowego smutku. Dla tej większości Zaduszki są rozrywką pod gołem niebem, czarodziejską dekoracyą, widowiskiem teatralnem —bądźmy szczersi — nawet sposobnością do miłosnych schadzek, szeptów i... Alboż to raz świętość cmentarza zbezczeszczoną była niecnotą ptaszków, które się chronią do pustych zarośli? W falach gwarliwego tłumu, płynącego ulicami Powązek, toną rozbitki życiowe, giną prawdziwie zrozpaczeni, nie psując pogodnego nastroju bezmyślnych gawronów, dla których wszystko jedno: Bielany, czy Powązki, loterya fantowa lub wystawa etnograficzna.

Świat mody i blichtru płytkich wzruszeń i marnotrawstwa traci jedną ze swych ważniejszych wystaw. Jak już wzmiankowaliśmy w numerze poprzednim, Resursa obywatelska ma szczery zamiar wyzwolić się z pod panowania zielonych stolików i bezdusznych balów a zostać klubem skromnej rozrywki towarzyskiej. Marzenie o takiem ognisku zrodziło się u nas bardzo dawno. Podjęła ją jeszcze kiedyś t. z. młoda prasa, chciano założyć osobne stowarzyszenie, układano statut, badano obce wzory i cofnięto się przed— niepowodzeniem. Usiłowanie to odżyło w gromadce, która ławą wstąpiła do Resursy kupieckiej, ale znowu rozbiło się o jej ustawę, która wielu nowozaciężnych wypłoszyła. Nareszcie pokutująca uparcie myśl odżyła świeżo w łonie Resursy obywatelskiej i tym razem, zdaje się, szczęśliwie. Według zapewnień *Kuryerów*, jej komitet zaprowadził już „wieczorki bez programu,“ na które schodzić się mają członkowie z rodzinami, w ubiorach zwyczajnych, dla zabawienia się rozmową, muzyką, śpiewem, deklamacyą a w przystępie lepszego humoru — tańcami. Ogonom męskim i żeńskim odmówiono wstępu. Niech będzie pochwalony człowiek, który pierwszy tę myśl podjął, a czytelnik niech nie sądzi, ażebym tu oklask darowywał drobiazgowi, który warto włożyć do torby reporterskiej, ale do wielkiego dzwonu przywiązywać nie warto. Bo naprzód sromota dla nas, ażebyśmy w naszej biedzie uprawiali tylko dwie postacie rozrywek klubowych: rujnujące karty i kosztowne bale; powtóre brak publicznych ognisk dla życia towarzyskiego opodatkowywa nas niezmiernie dla podtrzymania rozmaitych „wieczorków,“ na których urzędnik pobierający 1,000 rs. pensyi obdziera swe dzieci dla przyjęcia kilkudziesięciu osób wystawną kolacyą (zbytek, którego sobie nie pozwalają najzamożniejsze narody); po trzecie zbliżenie się kół towarzyskich niezbędnem jest dla prawidłowego zrastania się organizmu społecznego. Jeśli zważymy, że miasto zagraniczne tej wielkości, co Warszawa, posiada setki najrozmaitszych tego rodzaju zakładów, a my nie mamy ani jednego, że u nas mężczyzni, oderwani od rodzin, piją w knajpach lub grają w karty, zrozumiemy ważność przekształcenia się Resursy obywatelskiej. Dotąd, oprócz teatru i koncertu, nie znamy publicznych rozrywek, dających zadowolenie zdrowe; znamy tylko dogadzanie niezdrowym nałogom. Nie będę tu dalej bronił sprawy dawno teoretycznie u nas, a praktycznie wszędzie wygranej, bo właściwie już tylko dziwić się można naszej niezaradności w urzeczywistnieniu myśli, którą każdy bardzo dobrze pojmuje i ocenia. Nie pierwszy to i nie ostatni objaw tej naszej filozofii, która pogrąża się w głębokich dumaniach nad pytaniem: „co by było, gdyby ciocia miała wąsy“ a zapomina o cioci bez wąsów.

Jak owa ciocia, przybrał się w surowość p. A. Półkozic, broniący w *Wieku* literackiej spuścizny Słowackiego od grabieży „profanów,“ którzy ją bez wyboru sprzedają redakcyom kawałkami na własny benefis. Rozumowanie jest niezwykłem, więc muszę je przedstawić. „Wprawdzie — powiada p. P. — Słowacki jest tak wielkim poetą, i takie już posągowe w panteonie sławy narodowej zajął stanowisko, że jak z jednej strony każdy nieznany jeszcze dotąd utwór jego, ujawniony publicznie, stanowi ważny w literaturze wypadek, a licznym czcicielom genialnego poety, sprawia wielką ucztę duchową — tak z drugiej znowu nawet słabsze, niewykończone i nieprzeznaczone do druku, luźne jego pióra notatki czy fragmenty, chociażby i opublikowane nierozważnie, z tego piedestału, jaki zajął twórca *Króla ducha*, strącić go nie zdołają.“ Zdawałoby się, że po tej uwadze, po zapewnieniu, że w papierach po Słowackim znajdują się „brylantowe deszcze gwiazd“ i „nieoszlifowane dyamenty,“ p. Półkozic będzie dość względnym dla „profanów“ — przeciwnie, smaga on ich wężową dyscypliną i tylko powołanych uwalnia od tej kary. Gniewają go zaś: 1) honorarya pobierane za zrabowane utwory poety. 2) nieuszanowanie dla jego brulionów i tajemnic.

Ponieważ kwestya jest ważną i w zasadzie i w odniesieniu do osoby pokrzywdzonego, więc warto się nad tym przedmiotem zastanowić.

Naprzód co do honoraryów. Istnieje prawny posiadacz niewydanych rękopisów Słowackiego, czy nie? Jeżeli istnieje, on tylko może o szkodę swoją się upomnieć; jeżeli nie— co to obchodzi p. Półkozica, że ktoś za wyszukanie wiersza poety w bibliotece Ossolińskich każe sobie płacić? Czy tem kogoś materyalnie krzywdzi? Hałas całkiem niepotrzebny.

Co do wartości ogłaszanych utworów, sam oskarżyciel rozciął węzeł swym przytoczonym wyżej wnioskiem. Są tam „brylantowe gwiazdy,“ więc trzeba je pokazać. Są tam również tylko notatki, które autor rzucił na papier, jak malarz „szkic dorywczy.“ Szkoda, że p. Półkozic nad tem porównaniem własnem głębiej się nie zastanowił, bo ono wyprowadziłoby go na równą drogę. Gdyby Rafael *sam* wystawił publicznie którykolwiek ze swych drobnych, często ledwie zaznaczonych szkiców, przechowywanych nabożnie w galeryach europejskich, wyśmianoby go; tymczasem gdy je po jego śmierci wydobyto i ukazano, stanowią przedmiot czci. Bo co innego jest dla ogółu przez autora przeznaczony utwór, a co innego pozostała po nim pamiątka. Tu miara sądu odmienna. Jeżeli zaś po sławnych ludziach zbieramy i w muzeach wystawiamy pantofle, laski, surduty, krzesła, kołdry, dlaczegóż byśmy mieli kryć ich bruliony, tem bardziej, że nie zadawalają one samej ciekawości, lecz pozwalają wniknąć w istotę ich ducha, dostarczają kluczów do otworzenia niejednej zagadki.

Co do tajemnic. Niema chyba bardziej sekretnych akt w życiu wielkich ludzi, jak ich listy prywatne, odsłaniające całą tkaninę najdrażliwszych często stosunków i uczuć, a przecież je bez skrupułu ogłaszamy i bez wyrzutu sumienia czytamy. Człowiek bowiem wysokiego stanowiska, po zejściu ze świata, traci prawo do ubezpieczania swych tajemnic; musi być przygotowany, że na tem stanowisku będzie całkowicie widzialnym i zewsząd oglądanym. O ile zaś przeciwko takiemu obnażaniu bohaterów może ktoś stawiać zarzu-

ty. o tyle nie powinien tego czynić p. Półkozic, który w niezliczonych swoich opisach „cyganeryi“ warszawskiej powyciągał na widok publiczny wszystkie skrytki życia poetów i literatów tego znaku. Słowacki ma „poruszać się w grobie,“ jeśli widzi w druku swoje niewykończone wiersze; a ciekawy jestem, co tam w grobach robią Zmorscy, Dziekońscy i inni towarzysze, jeśli słyszą, jak p. Półkozic opowiada o ich pijatykach, stawianiu na zaziębionych brzuchach rądli, z których koleżeńskie grono się raczy itd. A przecież uczestnicy tych biesiad nie żyli współcześnie z Kochanowskim, lecz z p. Półkozicem, zostawili żyjące dotąd rodziny, którym ten *Decameron* cyganeryi wcale się nie podoba. Zresztą śledzenie Słowackiego w schadzkach miłosnych, całusach i romansach nie jest profanacyą jego sławy, a drukowanie nieobrobionych wierszy jest? A to ciekawa logika i etyka! Co z tych biedaczek umie zrobić — frazes!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Stacye meteorologiczne przy cukrowniach.— Czem i co trzeba robić. — Ludzie od świata odcięci. — Okólnik w sprawie upadku cen zboża.—Towarzystwo kr. miejs. w Kaliszu. — Namowy Płocka. — Brak rzemieślników w Dąbrowie.—Postęp śród wójtów lubelskich.—Odpowiedź na bezimienną interpelacyę.

Jest to rzetelna rozkosz móدz, bodaj przez tydzień, nie pamiętać i nie pisać o kradzieżach, rozbojach i pożarach.

Taką przyjemność sprawiam sobie, albo raczej życie mi sprawia dzisiaj (ażeby jej nie mącić, w nawiasie tylko wspominam, że spaliły się zabudowania gospodarskie w majątku Sokołów, około Białegostoku).

Będę więc dziś opiewał same tryumfy nasze — jak zwykle — *in nuce*. A naprzód projekty Towarzystwa dla popierania przemysłu i handlu, które, ledwie zasadzone w doniczce warszawskiej, pnie się jak bujny bluszcz po stosunkach całego kraju. Redakcya *Pamiętnika fizyograficznego* urodziła myśl urządzenia przy cukrowniach stacyj meteorologicznych i oddała ją na wychowanie Towarzystwu. Energiczne to ciało przystąpiło zaraz do rzeczy, t. j. rozesłało odpowiednie wezwania. O co idzie?

Oto, ażeby w fabrykach cukru zaprowadzono i spożytkowano następujące narzędzia: 1) barometr, 2) termometr zwyczajny, 3) termometr do oznaczenia temperatury najwyższej i najniższej, 4) do oznaczenia ciepłoty gruntu, 5) pluwiometr, 6) przyrząd do mierzenia siły i kierunku wiatru. Jeżeli stacya będzie posiadała wszystkie te przybory, otrzyma rangę pierwszą, jeśli tylko niektóre z nich—drugą lub trzecią. Obserwatoryum główne w Petersburgu przyjęło trzy godziny do spostrzeżeń stałych: 7 rano, 1 i 9 po południu. Też same pory wyznacza i nasz projekt. Naturalnie obserwacye, czynione w innych godzinach, jako też bez pomocy narzędzi, gołem okiem, są również pożądane. Kto to wszystko będzie robił? Technicy w cukrowniach, które muszą mieć ludzi przyrodniczo wykształconych i nie mogą się obywać uzdolnieniami, dostatecznemi dla wójtów gmin. Z tej więc strony, jeśli dobra wola dopisze, zawodu spodziewać się nie należy. Ale... wydatki? Przyrządy kosztują od 25 do 100 rs. jeden—razem kilkaset rubli. No, od czegoż znowu tantyemy i dywidendy. Wykrajanie małego skwarka z tak tłustych połciów dla nauki, dla żeglugi (o co u nas mniejsza), wreszcie dla rolnictwa—nie zuboży go.

Projekt wiąże wszystkie te organy jednym głównym w Warszawie. Centralna stacya będzie miała za zadanie: 1) pośredniczyć w zakupnie potrzebnych narzędzi *jednakowych*, 2) zaopatrywać pojedyncze stacye w instrukcye, 3) przesyłać im sprawozdanie miesięczne, 4) dopomagać, w miarę możności, do rozwiązania pytań lub do samodzielnych badań z zakresu meteorologii.

Plan więc jest, rusztowanie już nawet wzniesiono — panowie mularze do roboty!

Oprócz korzyści teoretycznych i praktycznych z tego rodzaju sieci, zarzuconej na kraj cały, nie należy zapominać o moralnych. Nasza prowincya śpi i najbardziej ruchliwe jednostki swojem chrapaniem usypia. Jej wychowaniec ma w sobie dotąd coś niezdarnego i przytępionego. Powiada on sobie: niech tam warszawiacy filozofują, ja mogę tylko zarabiać na chleb—jestem odcięty od świata. Ta rezygnacya wydobywa się nieraz z ust, które kiedyś do lepszych słów były zdolne. Szkoły jako tako zahartują i wypolerują umysł, zdaje się, że on nie zmięknie i nie straci połysku nigdzie. Bynajmniej: utkwiwszy w kącie prowincyonalnym, pokryje się wkrótce śniedzią i rdzą tak, że po latach kilku spotykasz całkiem innego człowieka. Istotnie jest odcięty od świata. Rozwój dróg żelaznych, prasy i innych czynników, bądź ułatwiających stosunki, bądź wywołujących ruch, odświeża ciągle naszą prowincyę, ale stęchlizny tam jeszcze dużo. Ile razy więc przybywa jakiś nowy węzeł, nowa pobudka do myślenia—niech będzie chwała wszelkiemu postępowi. Stacye meteorologiczne, na początek urządzone tylko przy cukrowniach, nie staną się potężną jego dźwignią, ale zawsze to siła, która zmusi techników i ludzi „odciętych“ do pamiętania o czemś więcej jeszcze, niż o zacierach buraczanych.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu chwyta jednocześnie najdokuczliwszą bestyę za rogi—spadek cen zboża. Rozesłało ono okólnik, w którym na podstawie dostarczonych mu rad, wskazówek, objaśnień ludzi ze sprawą obeznanych, pragnie: 1) zbadać przyczyny, które spowodowały to groźne położenie i wyjaśnić jednocześnie jego trwałość i doniosłość; 2) obliczyć koszta produkcyi wytworów naszego przemysłu rolnego dla wynalezienia minimalnej ceny, za którą w teraźniejszych miejscowych warunkach ekonomicznych i społecznych producenci swój towar wywozowy sprzedawać mogą; 3) obmyślić środki, mogące wpłynąć na obniżenie kosztów produkcyi. W tym celu powołuje wszelką znajomość rzeczy do zabrania głosu. Ma ono nadzieję, że taka „ankieta nad najważniejszą u nas w tej chwili kwestyą ekonomiczną da możność zastanowienia się z większą świadomością nad zmianami, jakie przemysł rolniczy będzie musiał zaprowadzić w swej eksploatacyi i otworzy zarazem szerokie pole technicznym studyom, dążącym do wprowadzenia gospodarstwa krajowego na nowo racyonalne tory.“ Kto więc posiada odpowiednią wiedzę i doświadczenie, niech odpowie na pytania, które Towarzystwo w osobnym *kwestyonarzu* określiło. My zaś przyznajmy, że ono narodziło się w porę i że swoją „ankietą“ może usunie potrzebę kongresu rolniczego.

Wspominaliśmy niedawno na tem miejscu o ramach, wyznaczonych przez ministeryum projektowi towarzystw kredytowych dla miast i o głębokiej drzemce, jaka grody nasze opanowała. Otóż mamy dziś do zapisania dwa znaki życia w tym kierunku. Odpowiedni komitet w Kaliszu opracował już ustawę, która chce wznieść instytucyę samodzielną. Zbudzony tą krzątaniną Płock zapytał ojców kaliskich: 1) Czy chcą utworzyć Towarzystwo kr. m. z wzajemną łączną gwarancyą listów dla wszystkich miast gub. płockiej? 2) Czy nie lepiej byłoby zjednoczyć ich interesy i usiłowania? W tej chwili ojcowie kaliscy dopiero radzą, a nam się zdaje, że ze swej niepodległości ustąpią. Bo ostatecznie wszelka instytucya kredytowa ma tę szpetną właściwość, że potrzebuje dużo pieniędzy i że jej pomyślność zależy od szerokiej podstawy. A przyjemnie byłoby kaliszanom, gdyby kurs ich listów sturublowych wyrównywał wartości 100 roczników *Roli?*

Dąbrowa górnicza obchodzi wielkie święto: linia kolei od Dęblina (Iwangrodu) jest już gotową. Zachodzi tylko pytanie: jak się ubiorą na tę uroczystość panie i panowie miejscowi na przyjęcie pierwszego pociągu, kiedy — jak zapewnia korespondent *Kur. warsz.*—niema tam „ani krawca, ani szewca, ba, nawet uczciwego golibrody.“ Brak tych niezbędnych dekoratorów naszego ciała dał się dąbrowianom szczególnie uczuć teraz z powodu nadchodzących imienin św. Barbary, patronki górników, przed którą trzeba „dobrze się pokazać.“ Istotnie, byłoby to bardzo dziwnem, że miejscowość tak ludna i ożywiona, jak Dąbrowa, nie posiada koniecznych rzemieślników; ale pytanie, czy im nie grozi to samo, co wszystkim nadgranicznym gorzelniom? W pasie tym trudno się utrzymać przemysłowi krajowemu, bo go wypiera przemycany obcy — tańszy. Katowice i Mysłowice, dwa targowiska niemieckiej tandety, stały się dla klas średnich pogranicza magazynami wszelkich wyrobów z godłem „taniości i elegancyi.“ Miejscowy krawiec przydałby się, ale po to, żeby przyszyć guzik, naprawić starzyznę lub zrobić coś na dzień św. Barbary, gdy do Katowic niema okazyi. Tylko balwierz mógłby liczyć na klientelę miejscową, bo dla ogolenia brody jeździć do Katowic nie opłaci się. Złym znakiem dla rzemieślników naszych, pragnących się osiedlić w Dąbrowie, jest już to samo, że o zajęcie tego posterunku nie pokusili się niemcy, chociaż mieszkają tylko przez miedzę.

Gubernia lubelska ujęła w statystyczny wykaz ważną swoją chlubę: w r. 1880 miała wójtów gminnych, umiejących *czytać* 84, w r. 1881 — tylko 63, w 1882 — zaledwie 40, na początku zaś bieżącego 42.

Od pewnego czasu, dzięki zapewne ostrej swojego czasu polemice, sprawa stosunku oświaty do moralności stała się tak drażliwą, że dość o niej wspomnieć, ażeby natychmiast wywołać prywatną lub publiczną opozycyę. Już ściągnąłem ją na siebie wzmianką w poprzednim numerze. Ktoś (L. S.) przysłał mi cały pęczek interpelacyj w liście, w którym bądź pyta, bądź upomina mnie, ażebym nie wyciągał zbrodni przez lud spełnianych i nie zalecał oświaty jako „jedynego“ środka leczniczego, a natomiast... ale o tem później. Zauważyłem to od lat dwudziestu (tyle mam dopiero na rachunek jubileuszu), że ile razy ktoś dla pewnego zjawiska wskaże przyczynę, natychmiast przeciwnik chwyta ją i... odsłania inne. Cegła spadła na głowę przechodnia — Kuryery narzekają na nieostrożność — a tu przedsiębiorca budowlany powiada: Alboż to *tylko* my winni? Gdyby cegła nie była ciężką i gdyby nikt nie przechodził koło rusztowania — toby nie spadła i nie zraniła nikogo. Święta prawda, która wszakże nie usuwa potrzeby zastosowywania ostrożności.

Podobne rozumowania powtarzają się w kwestyi oświaty i moralności. Należy lud kształcić, bo on *wiele* zbrodni popełnia z głupoty — wołają jedni. Co — *wszystkie* zbrodnie popełnia z głupoty? — protestują drudzy. A temperament, przykłady a występki w klasach oświeconych. Mój korespondent p. L. S. „na dziś“ takie wskazuje nam zadanie: opracowywać życie ludu, jego historyę, instytucye, myśli i pożądania, a to będzie miało większą wartość, niż dowodzenie na zbrodniach potrzeby nauki. *De gustibus.*

A. C.

Z Kowna donoszą *Wiekowi*. W powiecie Nowoaleksandryjskim, we wsi Abele, włościanie byli trapieni ustawicznie przez złodziei koni. Nie było nocy, by któremu gospodarzowi nie skradziono jednego lub paru koni. Policyja wytropić złodziei nie mogła, więc włościanie postanowili udać się do znachorki, mieszkającej niedaleko we wsi. Ta wskazała, że winowajcami są dwaj gospodarze. Włościanie zdumieni byli wielce tą odpowiedzią, gdyż wskazani uchodzili we wsi za ludzi bardzo uczciwych. Znachorka jednak powiedziała, że są złodziejami, a któżby się o prawdzie jej słów wątpić ośmielił? Kilkudziesięciu włościan ze wsi Abele i sąsiednich, za pomocą tortur usiłowało wydobyć od nieszczęśliwych przyznanie się do winy. Zwierzęce to znęcanie się doprowadziło do tego, że jeden dręczony, aczkolwiek zupełnie niewinny, przyznał się do kradzieży paru koni u pewnego gospodarza. Na pytanie: gdzieje podział? odpowiedział, że sprzedał w pobliskiem miasteczku. Wówczas gromada cała, wlokąc swą ofiarę, udała się do miasteczka, lecz nieszczęśliwy na drodze ducha wyzionął. Smutne to zajście wyszło na jaw, a zarządzone zaraz śledztwo stwierdziło fakt znęcania się. Obdukcya denata, który się nazywa Berezowski, wykazała połamanie kręgosłupa i dwóch żeber, oprócz wielu ran na całem ciele. Wielu włościan pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

Czy tu nie pomogłaby oświata?

Petersburg. Ks. Michai Dadeszkiani, obrażony przez *Petersb. listok*, wszedł do redakcyi tego pisma i wygrzmocił kijem redaktora, p. Skrobotowa. Policya uśmierzyła pogromcę i spisała protokół.

— Tutejsza Izba sądowa skazała wydawcę *N. Wremieni* Suworina na 400 rs. kary, a redaktora Fedorowa na 200 i tydzień aresztu za oszczerstwo przeciw niejakiemu Sigodzińskiemu.

Łomża. Dobra Komarowo wystawione na licytacyę i nabyte przez agenta Banku drzewnego w Berlinie, wróciły podobno do rąk polskich — p. S. Skrzyńskiego. I po co przebyły tę stacyę kupna niemieckiego?

Lublin. Otwarto odnowiony teatr zimowy.

— Spaliły się całkowicie zabudowania gospodarskie folwarku św. Ducha (Rury).

Piotrków. Wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie młody lekarz, Fr. Węgliński.

Mława. Obywatele okoliczni urządzają tu sklep pod firmą: „Handel kolonialno-żelazny zjednoczonych obywateli.“ Już zwracaliśmy uwagę na pośpiech tutejszych ziemian w ratowaniu się ekonomicznem.

Wilno. Otwarto tu szkołę rzemiosł dla kobiet; głównie wykładane będą: krawieczyzna oraz introligatorstwo.

— Tutejszy *Wiestnik*, skarżąc się na obojętność mieszkańców względem teatru, pisze: „Wogóle teatr ma wielkie wychowawcze znaczenie, tu zaś w kraju teatr łącznie z prasą niewątpliwie ma również polityczne znaczenie. Teatr i prasa są to objawy cywilizacyi rosyjskiej, rosyjskiej myśli społecznej, a zatem jest narzędziem cywilizacyi kraju w danym kierunku. Z uwagi na doniosłość teatru przedsiębiorca otrzymuje 6,000 rubli zapomogi od rządu i 3,000 rubli od miasta. Utrzymanie trupy i teatru w ubiegłym sezonie kosztowało 40,000 rubli, gdy tymczasem dochody łącznie z zasiłkiem wyniosły zaledwo 29,000 rubli. Naturalnie, społeczeństwo powinno ocenić usiłowania teatru, skądinąd zaś słuszność wymagałaby podniesienia zasiłku wydawanego teatrowi do sumy, któraby zapewniła jego istnienie.“

— „Gołową“ miasta wybrany został p. Rubcow.

Z gub. mińskiej odbiera *Gazeta pols.* następującą wiadomość: „Dzięki naszym anormalnym stosunkom rolnym, w skutek ukazu z dnia 10 (22) grudnia r. 1865, ceny ziemi są niezmiernie niskie. Wystawiane na licytacye majątki subhastują po kilka razy, a nabywców jak niema, tak niema; bo któż ma zresztą kupować, gdy wszyscy ci, którzyby mogli i chcieli, nie mają do tego prawa? Na Polesiu zwłaszcza ceny ziemi są bajecznie niskie; desiatyna kosztuje rs. 5—10. Oto obecnie niejaki p. Łopuszynskij sprzedaje ogromne dobra (przeszło 9,000 des.) w pow. mozyrskim hr. Józefowi Tyszkiewiczowi za rs. 50,000, co wynosi niespełna rs. 5¼ za desiatynę. A jednak p. Łopuszynskij zarobił sporo na tym majątku, bo przed kilkunastu laty nabył go za rs. 30,000 od p. N. Ponieważ niemiał ani grosza gotówki, owe rs. 30,000 pożyczył od kupca Hurwicza w Mińsku; w zamian pozwolił swemu wierzycielowi wyciąć *5,200 des. starego sosnowego lasu.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 6 listopada.

Tegoroczna kampania wyborcza w Niemczech miała na celu ze strony rządu wzmocnienie „partyi pośredniej,“ t. j. narodowo-liberałów. Jak wiadomo, ten parlamentarny śnieżek, który tak obficie spadł do parlamentu niemieckiego po wojnie francusko-pruskiej i po którym ks. Bismark gładko przewoził wszystkie swoje plany, ten śnieżek — mówimy — stajał w ostatnich latach i pozostał tylko w drobnym płacie. Gdy kanclerz odmówił narodowo-liberałom swych łask, a naród — ufności, z najmocniejszego stronnictwa zachowała się jedynie kupka na nasienie. Nasienie to, starannie przewiane, rzucił potężny gospodarz Niemiec w rolę państwa z nadzieją, że ono w wyborach do sejmu wejdzie mu obfitym plonem. Wypadło lepiej, niż ziarno za ziarno, ale żniwo ubogie. Kosztem postępowców (a właściwie t. z. secesyonistów i demokratów) pomnożono liczbę narodowo-liberałów i konserwatystów — dwie roty, które bezwzględnie ulegają Bismarkowi — ale tak skąpo, że nie osiągnięto potrzebnej większości, a skutkiem tego centrum (katolicy), postępowcy i inne grupy opozycyjne w zjednoczeniu przeważą szalę głosów. Najciekawszym jednak objawem tego wyborczego żniwa jest to, że najplenniej obrodził żywioł, którego nietylko nie siano, ale który nawet tępiono — socyalno-demokraci. Zyskali oni więcej mandatów i niezmiernie podwyższoną liczbę głosów. Jest to całkiem nieoczekiwany rezultat t. z. „praw wyjątkowych“ i „małego stanu oblężenia.“ Nic też dziwnego, że niemcy są zdumieni lub przerażeni, bo widzą dotykalnie spotęgowanie się niebezpiecznego prądu. Stosunku stronnictw w przyszłym sejmie oznaczyć jeszcze niepodobna, gdyż pozostaje do rozstrzygnięcia kilkadziesiąt wyborów ściślejszych. Poznańskie zdobyło już 16 stanowisk, w niektórych wszakże okręgach musi również walczyć ponownie.

Sprawa brunświcka zawisła na niepewności; wyjaśniła się wszakże o tyle, że ks. Cumberland musi nadal pozostać władcą zapasowym, na którego prawdopodobnie nigdy kolej nie przyjdzie.

Zatarg francusko-chiński nie dostarcza nowych wiadomości. Courbet napotkał widocznie poważne trudności. Ale w chwili gdy nad kłopotem Francyi leją się krokodylowe łzy, Anglia oskarża ją o podkopy w Maroku. *St. James Gazette* z tego powodu pisze: „W Fezie dokonano zamachu na konsula francuskiego a w Tangerze aresztowano czterech francuzów. To akt pierwszy. Aktem drugim będzie wysłanie francuskiego okrętu wojennego, aby poprzeć protest rządu przed sułtanem. A akt trzeci? Po Tonkinie, Tunisie i Madagaskarze, domyślamy się, jakim on będzie. Jeżeli obecne wypadki marokańskie wezmą obrót, jakiego francuscy ajenci dyplomatyczni oczekują, natenczas do łańcucha, którym Francya opasać usiłuje północno-zachodnią Afrykę, przybędzie nowe ogniwo a dla towarów angielskich zamknie się znowu jeden rynek.“ Jest to strach, który ma nieco za duże oczy.

Rozeszła się pogłoska, mająca wszystkie cechy wiarogodności, że Chartum został przez powstańców zdobyty a Gordon wzięty do niewoli. Już łydki John Bullowi mocno drżały, gdy wreszcie zaprzeczono doniesieniu. „Business“ wszakże egipski idzie licho.

Mowa cesarza austryackiego przy otwarciu delegacyj, niewysuwająca na plan pierwszy przymierza „podwójnego,“ a natomiast wspominająca o przyjacielskich stosunkach z Rosyą, nadała znowu inny kierunek domysłom dziennikarskim.

Londyn. Od Port Said począwszy do Ras Asser zostały wszystkie załogi egipskie nad morzem Czerwonem zastąpione angielskiemi. W Massaua i Suakim nie ma już śladu egipskich rządów. Dobrowolne ustąpienie załóg egipskich dowodzi, że nastąpiło ono skutkiem tajnych układów z kedywem. Posiadając wszystkie punkty, w których zbiegają się drogi wiodące z Sudanu i kiedyś żelaznem pierścieniem ścisną ludność arabską, będzie mogła Anglija wyczekiwać cierpliwie, aż wycieńczona zastojem handlowym ludność odda się zczasem w jej ręce. Jest to początek przyszłego państwa angielskiego w Afryce. Koła rządowe zaniepokojone są wszakże tem, iż Francya reklamuje prawa swoje do nabytego w roku 1868 terytorym Bab el Mandeb, które w roku 1870 z powodu potrzeby wojska w Europie chwilowo opuściła i dokąd obecnie powrócić zamierza.

GŁOSY PISM.

Z dziejów „Schweiggeldu.“ W sejmie galicyjskim wniósł poseł Struszkiewicz interpelacyę, czy też rząd zamierza choć cośkolwiek uwzględnić przemysł krajowy przy budowie nowej kolei ze Stryja na Beskid do Munkacza w Węgrzech.

„Dodamy mały komentarz—powiada *Kuryer lwowski* — do tej interpelacyi. Jeszcze się nie skończyła karta dziejowa przedsiębiorstwa bar. Schwarza, który niby buduje kolej transwersalną—jak zaś buduje, to wkrótce wykażą publicznie ludzie fachowi—a już słychać, że sam Schwarz i jemu podobni robią zachody, aby otrzymać generalne przedsiębiorstwo linii Stryj-Beskid.

Akta sądowe sprawy Schwarz-Kamiński wykazały, że Schwarz zaraz po kontrakcie z rządem zdał przedsiębiorstwo w drugą rękę spółce „Gross, Knauer et Löwenfeld's Wittwe,“ zagarnąwszy z góry czysty zysk. Jak wysoki był ten zysk, to wynika z protokółów zeznań, znajdujących się w wiedeńskim sądzie karnym. Oto matadory „Laenderbanku,“ pp. Ludwik Wodzicki i dyrektor Hahn, a oprócz tego sam Schwarz i jego wiernicy, Stix i Weiss, zeznali tam zgodnie, że *p. Zygmuntowi Kozłowskiemu, posłowi do Rady państwa, przyznali łapowe w ilości 10% od czystego zysku z przedsiębiorstwa Schwarza, a dołączony mu od dyrektora Laenderbanku list prowizyjny opiewał na złr. 60.000.* Z faktu tego, którego prawdziwość udowodnić możemy protokółami sędziego śledczego, wynika, że zysk bar. Schwarza wynosił przynajmniej 600,000 złr., chociaż z protokółów niektórych widać, że wynosił daleko więcej i że p. Z. K. chciano oszukać (biedaczysko!).

Owóż taka to suma poszła do kieszeni jednego—za nic, bo jedynie za danie firmy! *De facto* kolej budowaną jest przez drugo- i trzeciorzędnych przedsiębiorców. Nie pojmujemy tedy, dlaczego ci drobniejsi przedsiębiorcy nie mają z pier-

wszej ręki budować—czy dlatego, aby się obławiała zgraja schweiggeldzistów? A niebotyczne szczegóły znajdują się o tem w protokółach wzmiankowanycd! Takiej przecież demoralizacyi nie może ministeryum tolerować.“

Ministeryum! A cóż sejm, który p. Z. K. przyjął do swego grona a pozbył się go dopiero przypadkiem!..

Osobliwsza procedura. Podajemy powyżej za *Kuryerem lwowskim* drobny przyczynek do ciemnej jeszcze wogóle historyi *schweiggeldu*, mając nadzieję, że prędzej czy później zostanie ona ostatecznie rozjaśniona. Należy dodać, że dotychczas p. Z. K. ani *Kuryerowi* procesu nie wytoczył, ani nie przesłał jakiegokolwiek sprostowania, czem chyba tylko stwierdza prawdziwość przytoczonych przez to pismo faktów. Żaden zresztą dziennik nie odważyłby się cisnąć tego rodzaju zarzutu na wiatr, za co czeka ciężka odpowiedzialność przed sądem. *Kuryer* nadmienia nadto, że twierdzenia swoje oparł na aktach sędziego śledczego. Tymczasem wyczytujemy z pewnem zdziwieniem w *Reformie* krakowskiej rzecz następującą:

„Za *Kuryerem lwowskim* powtórzyliśmy niedawno itd. W imię słuszności czujemy się dziś w obowiązku donieść, iż posłowie: Sapieha Adam, Potocki Alfred, Koziebrodzki Szczęsny, Dieduszycki Tadeusz i Czajkowski Alfons wystosowali do p. Z. K. pismo, w którem oświadczają, że po sumiennem i szczegółowem zbadaniu wszystkich do sprawy tej odnoszących się dokumentów, przyszli do przekonania, iż p. Z. K. żadnego udziału w zysku nie przyjął. Dokument ten okazano naszemu redaktorowi, posłowi Romanowiczowi, a autentyczność jego stwierdzili posłowie: Sapieha Adam, Zamojski Stefan i Słonecki Zenon.“

W sprawie tej nie zamieściła *Nowa Reforma* ani słowa więcej. Więc już wszystko dobrze? Więc gołosłowne zaprzeczenie ma wystarczyć czytelnikom? Nam się zdaje, że nie i jeżeli *Reforma*, niezobowiązana, bo *Kuryer lwowski* (źródło) nie uczynił tego dotychczas, pospieszyła ze sprostowaniem, to powinna była równocześnie *udowodnić* niewinność p. Z. K., zwłaszcza że oparła ją na dokumencie (akt prywatny), bez porównania mniejszą wagę mającym, niż podstawa twierdzeń *K. lwowskiego* (akta sądowe). A zresztą—co mnie i tobie, niewiasto, do tego? Dlaczego p. Z. Kozłowski sam się niebroni?... (Porówn. koresp. z Galicyi).

Są już i tacy niemcy? Komitet wyborczy stronnictwa wolno-konserwatywnego w W. Księstwie Poznańskiem umieścił w *Wochenblatt des Kreises und der Stadt Meseritz* (Międzyrzecz) odezwę, w której pomiędzy innemi wygłasza zdanie następujące:

„W naszym okręgu wyborczym chodzi o to, aby wszystkie po niemiecku czujące wiernopaństwowe stronnictwa trzymały z sobą, aby wystąpiły przeciwko opozycyi, która ze stanowiska *obcej* narodowości albo pod naciskiem wyznaniowych wpływów całość państwa na szwank naraża.“

Mosk. Wiedomosti z powodu rozruchów studenckich piszą:

„Ale czy słusznem jest karać samych tylko studentów za ducha panującego w uniwersytecie, a profesorów nie pociągać do odpowiedzialności, chociaż ci przez 20 lat gospodarowali w uniwersytetach, nie ulegając żadnej kontroli? Gdy skład studentów będzie oczyszczony, czyż nie należałoby poddać składu profesorów takiemu samemu oczyszczeniu?“

A w innem miejscu:

„Jak statuty z 1863 inaugurowały system zniesienia władzy rządowej, tak statuty z 1884 inaugurują odnowienie władzy rządu, powrót rządu do jego obowiązków. Złe, wytworzone przez ustawę z 1863, objawiło swą naturę, wypowiedziało się zupełnie w przebiegu dalszego rozwoju prawodawstwa. Nowa ustawa uniwersytecka nie może przynieść owoców, jeżeli ze wszech stron przyjmowana będzie szyderstwem. Czyż można przypuszczać, że wskutek nowych przepisów uniwersytety zamienią się w kwitnącą wyspę pośród rozhukanego morza? Jeżeli więc rząd wrócił do swego obowiązku na polu naukowem, to wolno zapytać czemu tego nie zrobi we wszystkiem? Czy nowe statuty mają pozostać martwą literą, czy też inaugurować nowy, lepszy porządek, nowy i lepszy w życiu naszej ojczyzny? Władza prawodawcza postąpiła rozumnie, rozpoczynając reformy od naukowości; ale wyparłaby się sama siebie, gdyby na tym początku poprzestała. Więc nuże panowie powstańcy, rząd przychodzi, rząd wraca!“

Gniazdo paszkwilu.

II.

Żeby ocenić wartość moralną uprawianego niegodnie w *Roli* paszkwilu, trzeba przypomnieć sobie pewne fakty — pewne zasługi.

Gdy prasa zaczęła nas nawoływać do skierowania swych usiłowań ku zaniedbanym gałęziom produkcyi, do pracy na polu przemysłu i handlu, do kształcenia się fachowego—kto pierwszy wystąpił z czynną inicyatywą obywatelską w tym kierunku? Kto założył w Warszawie wyższą szkołę handlową *), kto zgromadził w niej wybór naszych sił nauczycielskich i postawił ją tak, że może się dziś ubiegać z najlepszymi tego rodzaju zakładami w Europie? Zapewne jakiś „słowianin“ z „zawiesistym wąsiskiem?“ Nie, niestety, bankier semickiego pochodzenia, żyd, wyzyskujący rdzenną ludność kraju, podług *Roli* — według nas (miejmy odwagę to powiedzieć wobec zatrutych obelgami żądeł nocnych insektów z tego gniazda paszkwilu) — człowiek wysoce zasłużony na najrozmaitszych polach obywatelskiej działalności.

A Szkoła Rzemiosł przy ulicy Jasnej, instytucya, nie mająca chyba nic wspólnego z „wyzyskiem,“ a nawet, według pojęć p. J., *par excellence* antisemicka, komu być swój zawdzięcza? Przeważnie żydom, a głównie inicyatywie i materyalnym ofiarom Jakóba Natansona, takiego samego, jak poprzedni, bankiera i niemniej zasłużonego obywatela, na którego grób paszkwilista pluć nie śmiał, ale przynajmniej zamilczał o zapisie 30,000 rs. na cele naukowe, nadmieniając tylko z niedwuznacznym zamiarem insynuacyi, że zmarły od studyów, „za przykładem wielu swych współwyznawców, przerzucił się na pole obrotów finansowych i doszedł w ciągu lat kilkunastu do milionowej fortuny.“

A na Kasę Mianowskiego, na Kasy rzemieślnicze, na powodzian ostatniego wylewu, na wszelkie wreszcie cele dobra publicznego — kto najznaczniejsze sumy w ostatnim dziesiątku lat złożył i corocznie składa? Znowu ci sami ...bergowie, ...sonowie, ...blumowie, którzy podług *Roli* z wszelkich uczuć społecznych są wyzuci.

A kto to z antisemitów taki obywatelski pomnik cieniom swego syna postawił, jak p. Loewenstein z bratem w ostatnich tygodniach? P. J. potrafił tylko zwiesić nad tą ofiarą swoje „wąsiska“ i uszanował ją przypuszczeniem, że „skończy się na papierze, jak zazwyczaj kończą się“... bohaterskie jego przyrzeczenia, o czem niżej.

„Uparty szef“ *) *Roli* zapewnia, że tylko jego prenumeratorowie są dobrymi obywatelami kraju, a pomimo że zwolennicy jego starają się ich werbować „drogą, jaką kto może,“ gdy wimię „obrony ludu od wyzysku żydowskiego,“ przywoławszy sobie na pomoc nazwisko Matejki, „dla uczczenia jego jubileuszu“ wezwał antisemitów do składek na Kasy rzemieślnicze, otrzymał dwie ofiary sturublowe i kilkanaście kopiejkowych. Co o tem sądzić? Gdy pisma „żydowskie,“ prenumerowane, jak wiadomo, przez ludzi „czczących jedynie rubla,“ zakołacą do serc swych czytelników, tysiące „wielbicieli złotego cielca“ niosą ofiary i do kas wpływają dziesiątki tysięcy rubli, tymczasem pupilowie *Roli*, posiadający monopol na wszelkie szlachetne uczucia, tak je słabo przejawiają.

A teraz, czy prawdą jest to twierdzenie, że *wszyscy* żydzi popierają tylko swoich współwyznawców, że nimi wyłącznie obsadzają wszelkie korzystniejsze miejsca w swoich przedsiębiorstwach, używając „ludność rdzenną“ jedynie do robót ciężkich i niepopłatnych?

Nie przeczymy, że w prywatnych domach handlowych i bankierskich większość pracowników najczęściej, chociaż nie zawsze, stanowią izraelici, lecz najważniejszym powodem tego jest najprzód fakt, o którym wspominaliśmy wyżej, że sami staramy się o to, by z żydów zrobić sobie wrogów, że do dziś dnia nie przestaliśmy ciągle patrzeć na nich z pogardą i nie lubimy pracować pod bezpośrednim ich kierownictwem, a następnie, że śród nas mało jest jeszcze ludzi fachowo w zawodzie handlowym wykształconych. Zapewne, że niejeden nieuk, niemogący nigdzie znaleść zajęcia, chętnie by się zgodził przyjąć miejsce u żyda, gdyby mu dobrze zapłacono, ale takich „pracowników“ kupcy pożądać nie mogą, bo przedsiębiorstwa prywatne nie są instytucyami filantropijnemi. Zapytajcie jednak pierwszego lepszego młodzieńca z jakiejkolwiek warstwy naszego narodu, czyby wstąpił na praktykę do oświeconego przedsiębiorcy starozakonnego, by, nabywszy wiadomości fachowych, zapewnił sobie dostatni kawałek chleba, a usłyszycie natychmiast odpowiedź: „Ja mam być żydowskim sługą — nigdy!“ Ale zwróćmy się do najznaczniejszych i najwięcej znanych przedsiębiorstw finansowych, w których głównymi akcyonaryuszami, decydującymi o wszystkiem, są kapitaliści semickiego pochodzenia; przypatrzmy się, kto w naszych bankach i na naszych drogach żelaznych zajmuje najkorzystniejsze posady — dyrektorów, naczelników, prokurentów i t. p.; przejdźmy wreszcie wszystkie biura tych instytucyj i zobaczmy, jaki żywioł w ich personelu przeważa—semicki, czy czysto polski? Od czegóż jednak głowa na karku, i to taka głowa! Kamienny „szef“ antisemitów uważa za żydów nietylko wyznawców zakonu mojżeszowego, lecz wszystkich ludzi, bez względu na wyznanie i pochodzenie, „pracujących w prywatnych instytucyach“ lub „zajmujących się (jakiemkolwiek) przedsiębiorstwem“ i... nieprenumerujących *Roli* **). Tym sposobem, naturalnie, cokolwiekbądź byśmy mu

---

*) Spadkobiercy założyciela dokładają do utrzymania tej szkoły rok rocznie od 8 do 10,000 rs. Pomimo to ustanowili przy niej dwa hojne stypendya (dochodzące do 1000 rs. każde) na wyjazd najzdolniejszych jej wychowańców do Lipska dla gruntownego nauczenia się języka niemieckiego. Dodajmy tu jeszcze dla użytku antisemitów wiadomość, że pomiędzy stypendystami nie było dotąd ani jednego żyda i że korzystający z tego dobrodziejstwa nie przyjmują na siebie żadnego innego zobowiązania nad to, że będą pracowali w *kraju*.

*) Najnowszy tytuł własnej nominacyi (nr. 42). Dawniej p. J. poprzestawał na skromnej nazwie „niewzruszonego redaktora.“ Tak mu przykro, iż jego podkomendnym ten tak drogi mu tytuł, widocznie, przez gardło przejść nie może, że *dla przykładu* sam się nim czci co kilka wierszy, opowiadając w swych „kamiennych“ fejletonach, co do siebie mówił i co sobie „rozkazywał.“ Poczekajmy maluczko, a możemy być pewni, że dzisiejszy „szef“ nazwie się sam *jenerałem!* Przecież ma już „wąsiska.“

**) Gdyby mnie kto posądził o niewczesne żarty, niech zechce przeczytać szereg artykułów wstępnych w *Roli* p. t. „Żydzi w prasie warszawskiej“ (nra 39—42 z r. z.) oraz „Polacy-Żydzi“ (nr. 3 z r. b.) i „Niegodna broń“ (nr. 13 z r. b.). W tym ostatnim, odpowiadając na protest *Słowa* przeciwko insynuacyom *Roli*, twierdzi p. Jeleński, iż dziennik ten, prenumerowany, jak wiadomo, prawie wyłącznie przez właścicieli ziemskich i jawnie broniący ich interesów, a skutkiem tego powszechnie uważany za organ ziemiaństwa polskiego, jest pismem żydowskiem; za jedyny zaś dowód tego twierdzenia przytacza „fakt,“ że „na czele założycieli i kierowników gazety stoi mandataryusz (p. Konstanty Górski), który w kilku naraz *prywatnych*, *czyli* (zwracam uwaga na ten

odpowiedzieli na jego brednie, jakiekolwiek fakty byśmy mu przedstawili, będzie on zawsze miał słuszność.

„Żydzi wyzyskują nasz lud prosty, karczmarze go rozpajają i na spółkę z pachciarzami drą z niego lichwiarskie procenta.“ Zgoda! Tylko należałoby dowieść, że przyczyną pijaństwa i lichwy jest chciwość żydowska, a nie ciemnota i bieda ludu, oraz że tam, gdzie karczmarzami są katolicy, pijaństwa niema, i że drobni kapitaliści chrześciańscy, pożyczający pieniądze włościanom, zadawalają się procentem prawnym. Tego jednakże p. J. dotąd nie dowiódł. A dalej, kto to karczmy i pachty żydom oddaje? Czy czasem nie zwolennicy pism „bezbożnych,“ „żydowskich?“ Nie — ponoć właśnie antisemici, prenumeratorowie idealnej, konserwatywnej, katolickiej i bezinteresownej *Roli*. Nie robią więc tego, widocznie, przez sympatyę dla żydów, ale z potrzeby, z musu, z powodu niezaradności naszej i braku śród nas ducha przedsiębiorczego. Cóż na to poradzić?

Na pijaństwo i lichwę, szerzące się po wsiach, lub innemi słowy na ciemnotę i biedę ludu, cała prasa nasza oddawna zwraca uwagę ogółu, a postępowy zwłaszcza jej odłam nie przestaje ciągle nawoływać ludzi dobrej woli do *pracy u podstaw* (termin, jak widzimy nie przez p. J. wynaleziony), do zakładania szkół ludowych, ogólnych i fachowych, gminnych kas pożyczkowych, do zbliżenia się dworu z chatą, do niesienia pomocy młodszej braci czynem i radą itp. Pomimo to jednak, sympatyczny nasz bohater podaje się głośno za jedynego (jest on we wszystkiem jedynym, a szczególniej w ortografii!) prawdziwego obrońcę interesów ludu, któremu w ojcowskiej swej czułości nadaje stale słodkie miano „chłopków“ lub „maluczkich“ (ba, w porównaniu z taką wielkością!); poznajmy więc bliżej te kwiaty, jakie na *roli* tak szlachetnych uczuć jego wielkiego serca, obejmującego miliony, wyrosły.

Nie potrzebujemy ich szukać długo. Już w trawie 5-go nru z r. z. znajdujemy taki skromny fijołek: „Bo w istocie stan gospodarstwa znacznie się poprawił i owo „biały kruk,“ gotówka, zaczęła się pojawiać w ręku gospodarzy (większych). Ale cóż, kiedy gorączka zarobkowa opanowała dzierżawców: potroili nad wszelką możność cenę dzierżaw—*to jeszcze mniejsza* (patrzajcie!), ale produkując nad siły, nie byli w stanie zebrać i... nuż uciekać się do sąsiedzkich figielków, *wcale nieprzynoszących zaszczytu*. Tak tedy, jeżeli jakiś Y. miał robotników za 30 kopiejek dziennie, zjawiali się emisaryusze (?) od Z. ofiarujący 40, od tego znów odciągnęli za 50 kop, (to już nie mniejsza, to już, jak widzimy z podkreślonych wyżej słów, hańbiące wykroczenie podług p. J.)... i z onej progressyi (?) utworzyły się *bajeczne ceny* robotnika (50 kop. dziennie!!), którym żadne gospodarstwo nie jest w stanie podołać... *Chłopkowi* (co za czułość) zaś naszemu, przy jego ograniczonych potrzebach, *nigdy nie jest tak pilno do grosza, aby na obniżenie* wzniesionych już raz *cen przystał* (a to chciwiec niepoczciwy!)... koniec końców *robotnik* zjadł pracodawcę“ (nie *potrojone ceny dzierżaw*?).

Próbka ta wymownie nas poucza, jak to „bezwzględnie niezależny“ od popierania interesów kasty, która mu dostarcza prenumeratorów, „szef“ *Roli* dba o dobrobyt „maluczkich.“ Zobaczmy teraz, jakie „zaszczytne“ stanowisko pragnąłby wyznaczyć ludowi w społeczeństwie. Oto ta wielkoduszna socyologia (nr. 3 z r. z.): „Był niedawno tylko jeden stan panujący. Siła jego spoczywała w dzielności serca i ramienia. Sprzykrzyło się ludziom; oparli się; popłynęła krew i pękła ciasna obręcz przywilejów. Szlachta przestała istnieć jako kasta. Mieszczaństwo zasiadło na krzesłach kurulskich (!)... Raj na ziemi! wołano. Lecz wkrótce znowu pojawili się malkontenci. I o co im chodzi, z czego są niezadowoleni i do czego dążą? „Ba!“ wyjaśnia p. Pancerny: „Starzy (?) wojacy brali z sobą chłopów na wyprawę, ale do czyszczenia koni i butów—nieprzyjaciela odpierali sami. Burżuazya robi inaczej. Ona lepsza, nie tyle ambitna, woli siedzieć za piecem (?), a posyłać chłopów na wojnę.“ Dlatego to „prostaczek (z *Roli?*) prawi: wolę ja ci pana, któremu buty czyściłem, kiedy pracował, walczył, bił (wszystko razem?) za siebie i za mnie (?) turka i tatara, wolę ja ci tego pana, choć czasem waryował (na grzbiecie „prostaczka“), zwyczajnie wojak, jak (może—niż) tego zdechlaka miejskiego, co to ni to, ni owo (ma to zapewne znaczyć—co nie bije ni tatara, bo nie ma potrzeby, ni mnie, bo mu nie wolno). Jeżeli szlachcic fuknął z góry, to co? *to przecie pan i wojak*. Ale ten, to ani z pierza, ani z mięsa, to ani żołnierz, ani robotnik, tylko był jadł i pił i spał (podobno szlachta była w tem jeszcze dzielniejsza), a ty, biedaku, poć się za niego, *choć jesteś taki dobry, jak i on* (o to tylko chodzi!). Chłopi mają swoją własną filozofią.. my („prostaczkowie“ z *Roli*) z nimi się pogodzimy. *Bartek woli czyścić buty*, aniżeli piersi swej nadstawiać.“

A cóż, czy nie szlachetne, nie „humanitarne,“ nie rozumne zapatrywania?

Mógłbym wam jeszcze, czytelnicy, niejeden taki kwiatek przedstawić, mógłbym wam opowiedzieć, w jak uczciwy sposób zwymyślał bezwzględnie niezależny jenerał żydofobów (w nrze 19 z r, b.) „Posła Prawdy“ i zrobił go *obrońcą wyzyskiwaczy ludu* za to, że ten wystąpił przeciwko oburzeniu niektórych pism, popierających interesy większej własności, iż z pożyczki Tow. Kr. Ziems. „chłopom“ dostało się *aż 3 i pół* miliona rubli, podczas gdy większym właścicielom *tylko* 38 milionów, brak mi już jednak na to miejsca. A szkoda! bo jest to znakomity dowód, że p. J., chociażby nawet Boga malował, przedstawi go zawsze w postaci... swojej.

Tak to organ nienawiści przejawia swoją *miłość* dla ludu, tak „szczerze i prawdziwie“ broni jego interesów. A jednak, gdy mówi o wyzyskiwaniu „tych maluczkich“ przez żydów, „o mało mu serce nie pęka z boleści...“ O obłudo z czołem miedzianem!

(D. n.).
W. Wścieklica.

łącznik), mówiąc po prostu, *żydowskich* instytucyach zajmuje miejsca dobrze płatne,“ oraz „że śród akcyonaryuszów *Słowa* znajdują się *przedsiębiorcy* warszawscy, jak np, p. S., p. T. i p. W.“ Ponieważ wszyscy ci panowie, oprócz tego, iż jako ludzie rozumni potępiają szkodliwe niedorzeczności, głoszone przez *Rolę*, nie mają nic wspólnego z żydami, więc wynika stąd, że dość jest zajmować miejsce w jakiejkolwiek prywatnej instytucyi, lub być przedsiębiorcą, by, będąc z dziada pradziada polakiem, a nawet ziemianinem i szlachcicem polskim, zostać zaliczonym przez „bezwzględnie niezależnego“ właściciela dwóch czytelni do żydów. Nie potrzeba wreszcie nawet tego. Dość jest już nawet być tylko krewnym urzędnika w jakiemkolwiek towarzystwie akcyjnem, w którem jeden z akcyonaryuszów jest krewnym jakiegoś człowieka niemiłego *Roli*, by być podejrzanym w swych uczuciach obywatelskich. O prawdzie tych słów przekona nas następująca odpowiedź p. J. do jakiegoś manekina (w nrze 20 z r. z.): „Autorem protestu przeciw *Roli*, pomieszczonego w *Prawdzie* jest p. Józef Moskalewski, administrator Ochoży, syn inspektora towarzystwa ubezpieczeń „Jakor,“ na czele którego w Warszawie stoi p. Epsztein, bliski krewny p. D. Rosenbluma. Nietylko też na poważną, ale na jakąkolwiek odpowiedź zabawny ten protest nie zasługuje.“ To jest drukowane!

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytet. Zwierzchność uniwersytetu tutejszego ponowiła zakaz samowolnego litografowania kursów. Profesorowie, życzący sobie, aby kursa ich litografowano i wydawano, obowiązani są uzyskać na to specyalne pozwolenie od wyższej władzy uniwersyteckiej, a kursa wychodzić odtąd muszą nie pod kontrolą uniwersytecką, lecz według przepisów ogólnej cenzury. Dotąd pozwolenie na litografowanie kursów swych otrzymali: profesor zwyczajny wydziału fizyczno-matematycznego Wrześniowski, profesor nadzwyczajny wydziału historyczno-filologicznego Karejew i prof. prawa państwowego Block.

Z Najwyższego rozkazu studentom, wydalonym z uniwersytetu kijowskiego, odroczono spełnienie powinności wojskowej do 1 stycznia r. p., gdyż wtedy ma być ostatecznie zakończony proces. Minister sprawiedliwości bawił w Kijowie dla zbadania sprawy rozruchów.

Projekt „Sal zarobkowych“ Staszica znajduje się w Radzie państwa.

Osobna komisya miejska rozpatrywała projekt Rady dobroczynnej w sprawie pomnożenia zasobu pieniężnego na przytułki i szpitale. Postanowiono wyznaczyć 20,000 rs. zakładowi dla nieuleczalnych idyotów w Górze Kalwaryi, 1000 rs. rocznie dla Szpitala Dziecinnego na ul. Aleksandryi, a nadto urządzić osobny przytułek położniczy na ul. Czerniakowskiej. Wyszukanie potrzebnej sumy, 26,000 rs., pozostawiono Magistratowi.

Konkurencya. Cukiernicy warszawscy, rozgniewani na piekarzów za wyrób ciastek, zamierzają urządzić piekarnię spółkową dla zaatakowania współzawodników wzajemnie na ich polu., tańszemi bułkami. I owszem, niech się kłócą, publiczność może będzie w tej walce trzecim, który się śmieje, a raczej mniej płaci.

Prasa polska. *Tygodnik kucharski* istnieć przestał.

Teatr. Żółkowski przyszedł do zdrowia i wystąpił w *Panu Benecie*. Jest to wiadomość prawdziwie pocieszająca, gdyż publiczność warszawska pragnęłaby jak najwięcej zdobyć rozkosznych chwil z gry najznakomitszego a upadającego na siłach artysty.

— W rolach gościnnych występuje Richter.

Auto-dafe spełnili studenci węgierscy na książce Jokaja, zawierającej historyę Węgier. Spalili ją na placu przed jego mieszkaniem. Praca to istotnie słaba i podstawy naukowej pozbawiona, ale stos jest daleko głupszym.

P. Sporny podał w *Przeglądzie technicznym* projekt urządzenia smoków wodociągowych w ten sposób, ażeby ubezpieczyć dopływ wody przeciw zmianom koryta Wisły.

Na pomoc, zbiorek wydany na korzyść powodzian, przyniósł czystego dochodu rs. 4220 k. $29\frac{1}{2}$.

Metryka Litewska—zbiór akt rządowych i prywatnych, przywieziony w r. 1795 z Warszawy do Petersburga, a skutkiem częstych fałszowań w interesach majątkowych obecnie dla użytku publicznego zamknięty—otrzymała nowego dyrektora—Ptaszyckiego. Dotąd te obowiązki pełnił Sznuk.

Bibiografia polska. J. I. Kraszewski *Jaszka Orfanem zwanego żywota i spraw pamiętnik*, Kraków. Jest to dziewiąta z kolei w cyklu powieści historycznych.

— *Kalendarz* J. Ungra na r. 1885.

— S. Czarnowski *Szkice z wędrówki po ziemiach słowiańskich*, Kraków.

— *Cywilizacya i żydzi*, Kraków.

Zakład Ossolińskich we Lwowie liczy w bibliotece dzieł (unikatów) 80,620, rycin 24,460, monet polskich 1889, medalów polskich 581, rękopisów 3061, autografów 2706, dyplomów 906, obrazów 754. Zakład nabył 44 tomów teki Lukasa, rękopis Nabielaka (30 tomów), papiery po Michale Wiszniewskim (1500 ark.), oraz rękopis „Tow. młodzieży, ćwiczącej się w literaturze polskiej“ we Lwowie w latach 1818 — 19, do którego należał Chłędowski, Sartyni, Jachowicz i inni. Wzrosło też znacznie w roku ubiegłym połączone z zakładem muzeum Lubomirskich, któremu magistrat lwowski dał na przechowanie całą swoją zbrojownię.

Akademia krakowska. Na posiedzeniu wydziału matematyczno - przyrodniczego d. 20 z. m. zdano sprawę między innemi z pracy dra Birkenmajera p. t. *Kształt i grawitacya sferoidu ziemskiego*, tudzież dra Orzechowskiego p. t, *Oznaczenie ciepłoty krytycznej i ciśnienia krytycznego tlenu węgla, jakoteż ciepłoty jego zestalenia się*. Obie prace będą drukowane. Zawiadomiono członków, że tom XVIII *Sprawozdań komisyi fizyograficznej* już wyszedł z pod prasy, a XIX się drukuje, jak niemniej tom XII *Rozpraw i sprawozdań wydziału mat.-przyr.*, tudzież tom IX i X *Pamiętnika* tegoż wydziału. Na ukończeniu jest także druk dzieła p. t. *Jan Brożek, akademik krakowski 1585—1652* przez prof. Frankego ze Lwowa. Rzecz ta przeznaczona jest na uczczenie 300 rocznicy urodzin sławnego Broscyusza. Komisya fizyog. rozpoczęła wreszcie wydawnictwo wielkiego *Atlasu geologicznego Galicyi*.

Wyjaśnienie. Czytamy w *Dnienniku warsz.*: „Niedawno donosiły niektóre pisma, między innemi i nasza gazeta, że jeden z biskupów rz. kat. polecił podległemu sobie duchowieństwu, ażeby zawiadamiało go o żądaniach władz administracyjnych w sprawach religijnych i oczekiwało jego rozporządzeń. Obecnie, jak donosi *Kijewlanin*, sprawę tę wyjaśniono należycie i Najwyżej polecono objaśnić biskupów rzymsko-katol., że z mocy § 44 ustawy o wyznaniach obcych biskupom katoli-

ckim służy jedynie nadzór nad duchowieństwem i instytucyami religijnemi, ale w żadnym razie kontrola rozporządzeń władzy świeckiej, której przepisy winni spełniać wszyscy bez wyjątku. O tej Najwyższej rezolucyi podano do wiadomości wszystkim biskupom katolickim."

Mikado japoński zrzekł się godności naczelnika buddyzmu i ogłosił, że religia ta, równie jak szintaizm, przestają być państwowemi i że wszyscy mogą korzystać z zupełnej swobody wyznania.

Muzeum tatrzańskie. Na odbytem w d. 21 z. m. posiedzeniu wydziału Tow. tatrzańskiego uchwalono na wniosek hr. Reya założyć w Zakopanem muzeum rzeczy tatrzańskich. Wnioskodawca przyrzekł dać na ten cel pewną kwotę pieniężną, nadto poruszył myśl założenia szkoły snycerskiej w Kołomyi na wzór zakopiańskiej.

Piewcy „Osmana," Gunduliczowi, sławnemu poecie serbsko-chorwackiemu z epoki Dubrownickiej, wzniesiony zostanie w 300-ną rocznicę urodzin jego pomnik w Dubrowniku (Raguza) w r. 1888 kosztem tamtejszej Rady miasta.

Hojne zapisy poczynił zmarły 23 z. m. w Franzensbadzie obywatel ziemski wołyńsko-galicyjski, Probus Barczewski. Uniwersytet lwowski otrzymał 100,000 zł., wszechnica jagiellońska 100,000, Muzeum przemysłowe we Lwowie 20,000, Towarzystwo muzyczne 15,000, politechnika lwowska 10,000.

Prasa. Powstały w Krakowie dwa nowe pisma: *Ekonomista narodowy* i *Kuryer mód*. Pierwsze wychodzić będzie co tydzień—drugie dwa razy na miesiąc.

— W Detroit (Stany Zjednoczone) zaczął wychodzić tygodnik polski ogromnych rozmiarów p. t. *Gazeta narodowa*. Prócz niego mają polacy cztery inne pisma: w Chicago *Przyjaciela ludu*, *Gazetę polską*, *Gazetę polską katolicką*, w New-Yorku *Zgodę*. Wszystkie odznaczają się formatem... dywanów nad łóżko i językiem nadzwyczaj skażonym.

Po latach trzydziestu sześciu. Sławny Görgey, który w r. 1849, nie mogąc się dłużej utrzymać, poddał twierdzę Vilâgos austryakom, za co przez szowinistów został okrzyczany zdrajcą — będzie wkrótce przedmiotem ogromnych owacyj ze strony narodu węgierskiego, albowiem z inicyatywy gen. Klapki wszyscy towarzysze broni z r. 1848—9 uznali, po dokładnem rozpatrzeniu sprawy, b. swego dowódcę niewinnym. Tak późno!..

Reklama. Korespondent *Gaz. narodowej* notuje wiadomość, że redakcya *Słowa* zapłaciła z góry za niewydaną jeszcze powieść p. t. *Potop* 10,000 rs., a p. Gebethner za prawo pierwszej edycyi 5000! Mówią też także — dodaje *Reforma* — że w adwencie zjedzie z Galicyi jeden ze znanych (hr..!) prelegentów i wypowie odczyt o tej nowej, napisać się mającej powieści, która z góry uznaną zostanie za arcydzieło arcydzieł.

Styl galicyjski. Jak w Galicyi zaniedbywaną jest czystość języka, świadczy najlepiej żądanie posła Romanowicza, w sejmie lwowskim postawione, aby mu pewien wniosek wydziału krajowego „przetłomaczono na język polski." Oto próbka stylu autonomicznego: „...wreszcie właściciela tych gruntów i zakładów, które się znajdują w okręgu konkurencyjnym, mającym się oznaczyć w drodze administracyjnej resztą preliminowanych kosztów budowy, a to w myśl § 66 kraj. ust. wodnej z d. 14 marca 1875 w stosunku korzyści odnieść się mającej, albo w miarę wielkości niebezpieczeństwa usunąć się mającego, albo też, o ile się podział kosztów na tych podstawach nie da uskutecznić, według wartości dotyczących nieruchomości i zakładów.." Kto tego nie zrozumiał, niechże się dowie, że to się nazywa „przedłożenie..."

P. Maryan Gorzkowski, sławny komentator obrazów Matejki, ogłosił znowu objaśnienia do dwóch najnowszych płócien krakowskiego mistrza („Wzięcie Maksymiliana pod Byczyną w niewolę" i „Chrobrego pod Kijowem"). Ucieszne to rzeczy i komu smutno na świecie, rozweselić się może łatwo. P. G. pisze np. „Wszystkie na obrazie ubrania i stroje tak różnorodne odtworzone zostały na podstawie ogólnych źródeł, w ruskich starożytnościach znajdujących się, które jeszcze należało odgadnąć i wyrozumować." Co należało „wyrozumować," „starożytności," czy „ogólne źródła," i jak tego rodzaju rzeczy wyrozumować można—licho chyba wie, bo p. G. nie zdołałby z pewnością objaśnić swego własnego komentarza. Już to znany z niego żartowniś! Nie przepuścił jednego zdania, żeby sobie nie uczynił krotochwili z sensu i stylu.

Cesarz austryacki — jak oblicza *Presse* — zabił w przeciągu ostatnich 35 lat na polowaniach 43,188 sztuk zwierzyny, mianowicie: 14,175 bażantów, 8,270 kuropatw, 6,456 zajęcy, 1,279 dzików, 807 jeleni itd.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Fiat. J. Z podłego pióra może spłynąć tylko podłość. Więc niech się Pan dziwi, ale wtedy, gdy spłynie uczciwość.

P. N. Stan. Są to arkusze wybrakowane. Kompletów *Prawdy* z żadnego roku, prócz obecnego, nie mamy.

Studentowi przyrody. Taką radę dać Panu może tylko katalog bibliograficzny z ostatnich lat starannie przejrzany.

P. Ed. Łojko. Owszem *Prawda* już wielokrotnie wspominała o tem dziele, które ma tyle wartości, ile... waży.

A. K. Czy podobna rozwieszać wszystkie niedorzeczności? Niech sobie płyną drobniejsze wióry.

Studentowi. Ależ, chcąc zadośćuczyć pierwszemu życzeniu pańskiemu i wymienić wszystkich „więcej znanych historyków zarówno polskich jak i cudzoziemskich" oraz ich dzieła, musielibyśmy na to poświęcić kilka stronic *Prawdy*. A Pan jeszcze chcesz, żebyśmy podali całkowitą historyografię do panowania Bolesława Chrobrego! Przecież na to potrzeba kilka dni pracy i poszukiwań!

P. A. R. Zamierzyliśmy wydać przewodnik dla samouków, który nasuwa bardzo liczne trudności, ale który ostatecznie przygotujemy. Tam tylko kolega pański znaleźć może stosowne objaśnienie — w krótkiej odpowiedzi uczynić tego niepodobna.

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Октября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.